

nuklearnego, który w ciągu 30-40 minut *zmicie* je z powierzchni ziemi. I mała stąd pociecha, że również napastnik zostanie zmiciony.

Siła zatem, choćby największa, ma swoje granice, których nie sposób przekroczyć. Historia zresztą uczy, że jeszcze **nie było** takiej religii, ideologii, imperium, czy państwa narodowego, które zdobyłoby na trwałe niepodzielne panowanie nad światem.

“Pax Americana”, uznany za oficjalnie narodzony czy nie, też **nie będzie** wyjątkiem.

“Pax Americana”, jeśli taki jest *Wyrok Dziejów*, niech nawet istnieje, ale, jak to nauczał John Quincy Adams, XIX-wieczny prezydent USA, co przypomniał w wywiadzie dla The New York Review of Books 12 sierpnia 1999 r., nestor amerykańskiej dyplomacji i politologii, 95-letni George Kennan, niech to dzieje się, za sprawą “*siły przykładu, a nie nauczania innych*”.

“Nauczanie”, jeśli jeszcze przybiera formę brutalnej siły, jak to było w wojnie NATO z Jugosławią, w której po stronie Sojuszu USA prowadziły 85 procent wszystkich operacji bojowych, a w niektórych przypadkach udział ten wyniósł 100 procent, jest już zupełnie *niedopuszczalne*, zwłaszcza że **nie** nie rozwiązujące ani w krótkim ani w długim okresie czasu.

Ludzkość, zakładając możliwość sprostania wyzwaniom współczesności, rzecz wcale nie taka oczywista, podobnie jak to bywało w przeszłości, może to czynić **tylko** zgodnym wysiłkiem, tworząc “Pax Humana”, “Ogólnoludzki pokój-ład”, a nie jego regionalne wydania. Niektóre narody, jak amerykański, mogą i powinny mieć *większy* udział od innych w tych wspólnych rozwiązaniach, ale **nigdy** jedyny, a co gorsza - wymuszany siłą.

“Pax Romana”, choć też nie był wszechmocny, nie mogąc rozciągnąć się na germańskie ziemie, był jednak wolny od groźby zewnętrznej, która dopiero po setkach lat od jego powstania mogła być dla niego wyzwaniem. “Pax Mongolica” był też nie do pokonania przez dziesiątki lat, podobnie jak “Pax Britannica”.

“Pax Americana”, choć potężniejszy od tamtych, w skrajnie niekorzystnej sytuacji, może **nie przetrwać** nawet godziny...

Zbrojny świat jest faktem, a biorąc pod uwagę broń, jakimi rozporządza, jest **również groźnym światem**.

Dlatego też tak ważne jest *czym* naprawdę będzie “Pax Americana”, zakładając jego **oficjalne** narodziny, ciągle nie ogłoszone. Jeśli ma nim być ten w wydaniu Doktryny Clintona Nr. 2, to *groźny świat* będzie **w dwójnasób** groźnym.

Rozdział V:

Groźny świat

1. Anachronizm wojen.

A. Ciągłe na krawędzi przepaści...

Ludzkość, choć “zimna wojna” jest już niby przeszłością, żyje **nadal** w *groźnym* świecie. Groźnym jest dlatego, że jest *zbrojnym* światem, a jako *zbrojny* pogrążony jest w **nieustannych** wojnach. Istne błędne koło.

W I rozdziale wymieniono niektóre z wojen końca XX stulecia, ale w ciągu tylko *jednego* miesiąca od sporządzenia ich listy doszły nowe: we Wschodnim Timorze i w Czeczenii. Zanim książka trafi do rąk Czytelnika niektóre z wojen mogą ~~one~~ wygasnąć, rozpalic się jeszcze bardziej, albo dojdą do nich jeszcze jakieś nowe.

Broni w świecie, z bronią masowej zagłady włącznie, zamiast ubywać - przybywa, a więc bić się jest czym. A nawet jeśli gdzieś jej ubywa, to podlegając nieprzerwanemu unowocześnianiu, ubytek ten wyrównywany jest z nawiązką. Dawniej, ze względu na małą precyzję rażenia oddalonych celów, zwłaszcza tych o tysiące kilometrów, głowica nuklearna musiała mieć *większą* moc wybuchową, żeby nawet eksplodując daleko od “miejsca przeznaczenia” mogła go zniszczyć. Dziś głowica trafia *precyzyjnie* w cel (z dokładnością do 15 m na dystans ok. 10 tys. km, co w przypadku ładunku nuklearnego równa się “strzałowi w dziesiątkę”). Mniejszy ładunek osiąga więc w efekcie *większą* siłę niszczenia, a ponieważ jest on także bardziej śmiertelny, ze względu na wzmożone promieniowanie, zatem pozornie zmniejszony arsenał nuklearny niektórych krajów jest *większy* w końcowym rachunku.

USA i Rosja ponadto, ostatnio *zwiększają* swoje wydatki na obronę (Rosja, na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa w dniu 5 października 1999 r., po-

stanowiła zwiększyć w ciągu 10 lat udział wydatków na obronę z obecnych 2,8 proc. pkb, produktu krajowego brutto, do 6,5 proc.).

W ślady dwóch supermocarstw wojskowych pójdą zapewne również inne kraje i starorzeczski aksjomat "*si vis pacem, para bellum*", "*jeśli chcesz pokoju - gotuj się do wojny*" - będzie jak zawsze dotąd **nadal** aktualny w postępowaniu człowieka. A że w czasach broni masowej zagłady stał się on tak samo **anachronizmem** jak sama wojna, to już, jak się okazuje, niczym zmartwieniem nie jest.

Przygotowania zaś do wojny w atmosferze wzajemnych podejrzeń, że ktoś nad kimś chce uzyskać *niespodziewaną* przewagę strategiczną, dodatkowo w sytuacji gdzie minuty i sekundy są o decydującym znaczeniu - mogą właśnie stać się powodem do **wyprzedzającego** uderzenia, a więc do wojny.

Nowa wojna światowa, nie tak jak dawniej, może dosłownie w ciągu *minut* ogarnąć różne miejsca globu ziemskiego. Stać się tak może, abstrahując już od przypadku, w wyniku *niekoniecznie* otwartych sporów, zwłaszcza pomiędzy supermocarstwami, tylko tych ukrytych, nieznanymi opinii publicznej, a jedynie wąskiemu kręgowi osób z kierowniczych kół wojskowych i wywiadowczych.

Tak właśnie było przed "rozpadem" ZSRR, którego wywiad miał jakoby zdobyć tajne plany USA o przygotowaniach do wojny. Czy tak było istotnie, czy tylko tak "straszone" - nie wiadomo. Możliwe nawet, że mając to na uwadze, odegrano komedię z rozpadem ZSRR, aranżując jakąś nową super-tajną operację w stylu "Trust", "Syndykat" czy "Monastyr", zachowując jednak, jak to było już wspomniane w innym miejscu, potencjał nuklearny, do którego Moskwa sięgnie w "razie potrzeby".

Co to będzie za "potrzeba" - decydować będą ludzie. Którzy? Mało ważne. Tacy są z całą pewnością. Marszałek Jewgienij Szaposznikow, ostatni minister obrony ZSRR i obecny doradca wojskowy prezydenta Jelcyna, powiedział przecież 16 maja 1997 r., że "będziemy sięgać do *nuklearnej pałki* w razie potrzeby". "Pałka" zaś, sądząc z uchwał rosyjskiej Rady Bezpieczeństwa, która 29 kwietnia 1999 r. odbyła "nuklearne posiedzenie", jak to potem podano bez dalszych szczegółów. Z tego jednak co Moskwa publikuje wynika, że "pałka" ulega *przyspieszonej* modernizacji, co mogą sugerować próby na poligonie Nowej Ziemli (chodzi tutaj o "miniaturyzację" broni nuklearnej, zacierającą w znacznym stopniu różnicę między nią a bronią konwencjonalną, gdyż zastępując konwencjonalny 10-kilogramowy pocisk artyleryjski nuklearnym, o sile wybuchu ok. 0,1 kilotony, trudno zakwalifikować go do kategorii broni nuklearnej, choć siła jego wybuchu wynosi równowartość 100 ton trotylu).

W czasach, kiedy moment *zaskoczenia* stał się tak ważny, jest to dla ludzkości **złą** wiadomością. Złą i dlatego, że strona przygotowująca niespodziewany atak *nie może* nawet w imię własnego bezpieczeństwa pozwolić sobie na luksus ostrzeżenia potencjalnego przeciwnika i ludzkości, że coś "wisi w powietrzu". Nie tak więc jak dawniej, kiedy to wzrost napięcia w świecie widoczny był gołym okiem, trwając nieraz latami, co pozwalało psychicznie i materialnie przygotować się do nadciągającego konfliktu - dziś może on spaść **nagle** na ludzkość, jak przystowiowy grom z jasnego nieba.

Perspektywa taka jest tym groźniejsza, że ludzkość, nie mając historycznego doświadczenia z wojną z zastosowaniem broni masowej zagłady, gdyż dwie niewielkie bomby atomowe zrzucone na Hiroszimę i Nagasaki takim doświadczeniem nie są, a broni biologicznej nawet i na tak niewielką skalę dotąd nie użyto, naogół **nie wyobraża** sobie jej wybuchu i przebiegu. Stępią to w konsekwencji jej czujność i instynkt samozachowawczy. A jeśli jeszcze do tego dodać nieuchronne pomyłki strategów wojskowych, którzy *niezmiennie* mają chybione wizje przyszłych wojen, to tym bardziej sprawa jest niepokojąca.

Zwłaszcza, że dwie wojny w ostatnich latach, które telewizja pokazywała częściowo "na żywo", jak to było z wojną w Zatoce Perskiej w styczniu-lutym 1991 r. pomiędzy koalicją pod przewodnictwem USA a Irakiem oraz z wojną NATO-Jugosławia z marca-czerwca 1999 r., zamiast ludzkość *ostrzec* przed grożącą jej katastrofą, dały **wypaczony** jej obraz. Zwłaszcza ta druga, gdzie ilość ofiar była niewielka, a po stronie NATO - żadna.

Mało kto wierzy więc, że jakaś następna wojna byłaby całkowicie **odmienna** od tej z ekranów telewizyjnych. Ledwie kto wyobraża sobie, że w przypadku konfrontacji pomiędzy supermocarstwami, samoloty nie startowałyby z lotnisk i lotniskowców, gdyż te "wyparowałyby" już w pierwszych minutach wojny. Podobnie jak nie wyobraża sobie, że nie byłoby już "chirurgicznego" rażenia tylko niektórych obiektów, jak to było w Jugosławii, nie pociągającego za sobą dużych strat wśród ludności. W przypadku napadu nuklearnego nawet przy "chirurgicznych" uderzeniach byłyby już olbrzymie.

Tyle tylko, że już nikt niczego nie zobaczyłby w telewizji, usłyszałby w radio czy przeczytałby w gazecie...

W dzisiejszych czasach więc, w dobie broni masowej zagłady, wojna stała się anachronizmem, gdyż **niczego** już nie rozwiązuje.

Nie rozwiązywała niczego i dawniej, choć lokalnie mogło to wyglądać inaczej, ale wtedy przynajmniej **nie było** groźby, że wojna może "rozwiązać" także ludzkość.

Z tego właśnie powodu wojny **nie można** już dłużej uznawać za mniej

lub więcej *normalne* zjawisko, towarzyszące ludzkości od niepamiętnych czasów.

Uznając więc wojnę za anachronizm, nawet tą najmniejszą, gdyż *nigdy* nie wiadomo kiedy stanie się większą, albo światową, powstaje problem **jak** wyzwolić się od tego anachronizmu? Dawniej, w okresie "zimnej wojny" zwłaszcza, były jeszcze jakieś "ruchy pokojowe", które mniej lub bardziej szczerze zwalczały wojnę.

Teraz i tego nie ma. o wygnaniu wojny z życia ludzkiego **nikt** już nie mówi, negocjacje rozbrojeniowe prawie ustały, a krew jak się lała w świecie - tak się leje...

Przeciwnie, zaczyna się mówić, o zgrozo, o różnych nowych "wojnach sprawiedliwych", a więc o **kontynuowaniu** procesu masowego zabijania człowieka przez człowieka!

Cóż więc można zrobić, żeby odciągnąć ludzkość od tej przepaści?

B. Nie ma wojen bez zabijania.

Wszelka dyskusja o sensie czy bezsensie wojny nie może pominąć tak oczywistego faktu, że wojna jest przede wszystkim **zabijaniem** człowieka przez człowieka, zorganizowanym, usankcjonowanym przez różnorakie "wyższe racje", od patriotycznych, religijnych i moralnych zaczynając, a na walce o byt kończąc. USA, w Doktrynie Cartera - przypomnijmy to - ogłosiły przecież wszem i wobec, że od ropy naftowej w Zatoce Perskiej, mającej dla nich żywotne znaczenie, nie dadzą się odepchnąć bez wojny, gdyż nie do pomyślenia jest rezygnacja z amerykańskiego "stylu życia" opartego w olbrzymim stopniu na paliwach płynnych.

Wojna zaś, bez względu na jej powód, to przecież zabijanie, a jakie naprawdę pobudki kierują człowiekiem, że zabija, nie tylko w obronie własnej - tego jeszcze *nikt* nie wyjaśnił. W świecie zwierzęcym, a podobno najlepszym tego przykładem był tyranozaur, największy drapieżnik wszechczasów, zdarzają się przypadki zabijania *bez* widomych powodów. Niektórzy uczeni nawet twierdzą, że ok. 2,5-3 procent mężczyzn rodzi się jako potencjalni mordercy. Jakiś procent innych "przyucza się" w życiu do zabijania, w efekcie czego chętnych do tego czynu jest wielu. "Zabijaczy" zawsze masowo produkowały też wojny, zjawisko wśród wielu innych o tyle zastanawiające, że człowiek jako **jedyny** wśród żywych istot, nieważne czy poganiany rozkazem czy na ochotnika, masowo i *świadomie* idzie na śmierć. Bohaterska zaś śmierć na polu walki była zawsze i pozostała najbardziej sławiona ze wszystkich ludzkich czynów. Islam nagradza ją nawet wiecznym rajem.

Bohaterstwo, prawdę mówiąc, w realnym życiu wygląda nieco inaczej niż w filmach.

Według amerykańskich badań, przeprowadzonych w 4-ch dywizjach piechoty w czasie II wojny światowej, aż do 84 procent żołnierzy i oficerów przyznało się, że w czasie walki ma gwałtowne bicie serca, do 69 procent dotkliwie bóle żołądka, do 61 procent nerwowe drganie mięśni i trzęsienie kończyn, do 56 nadmierne poty, do 49 procent gwałtowne osłabienie, do 45 procent sztywnienie kończyn i do 27 procent wymioty oraz nie kontrolowane oddawanie moczu i kału w spodnie. W armii amerykańskiej utarło się nawet powiedzenie, że *"tylko tchórz wypiera się strachu w czasie walki"*.

Ludzie w swojej masie **boją się** więc wojny, gdyż boją się śmierci, choć wśród nich są, oczywiście, liczne wyjątki. Od strony jednak *dominującej* postawy życiowej człowieka wojna jest **anomalią** i stąd w jego postępowaniu nie powinna zajmować *centralnego* miejsca, jak nie może zajmować zabijanie.

Zjawisko zabijania już w zamierzonych czasach stało się przedmiotem zainteresowania wierzeń, jak na przykład w starożytnym Egipcie, gdzie od czasów faraona Amenhotepa IV, Echnatona, w XIV p.n.e., wraz ze wzrostem czci dla nowego bóstwa, Atona, zabijanie, obok kradzieży i kłamstwa, objęto *zakazem* religijnym, co co najmniej 200 lat przed domniemanym istnieniem Mojżesza i 500-700 lat przed pisemnym ukazaniem się Dekalogu w Starym Testamencie.

Nie staroegipskie zakazy religijne zrobiły jednak karierę w świecie, a Piąte Przykazanie, *"Nie zabijaj!"*, faktycznie **najważniejsze** Dekalogu, choć nie pierwsze wśród dziesięciu.

W praktyce, niestety, od Piątego Przykazania zaczęto czynić liczne wyjątki, od Mojżesza poczynając, który, jeśli wierzyć podaniom, rozkazując mordowanie Kananejczyków *nie* w samoobronie "ludu wybranego", lecz dla *podboju* "ziemi obiecanej" - złamał go jako pierwszy. Wyznawcy Starego Testamentu mordowali już odtąd nagminnie, nie wyłączając współwyznawców, za naruszanie świąt albo inne, często trywialne występki.

Nowy Testament nie był wcale lepszy. Obierając męczeńską i *dobrowolną* śmierć za symbol wiary i cnotę, zamienił ją szybko w instrument *kary* w imię ich obrony i krzewienia. Państwo Kościelne, jak każde inne, prowadziło wojny. Papiestwo nie potępiało wojen religijnych, podczas gdy wojenne wyprawy krzyżowe nie tylko dla odzyskania Ziemi Świętej - błogosławiło. A to, że wyprawy wyrzynały po drodze chrześcijan, jak tych w Konstantynopolu, czy już u celu wyprawy, w Jerozolimie, błogosławięstwa nie zamieniało potem w klątwę.

Jeszcze gorzej było z inną wielką religią, islamem, z jego korzeniami tkwiącymi w Starym i Nowym Testamencie, który, podnosząc "świętą wojnę" do *najzaszczytniejszego* dowodu wiary i bogobojnego postępowania wyznawców, zrobił z niej faktycznie *odmianę* wiary.

"Nie zabijaj!", a trzeba podkreślić, że Piąte Przykazanie zakazuje **bez wyjątku** zabijania człowieka przez człowieka, stało się więc pustosłowiem, co jest bodajże *największą* klęską moralną człowieka na przestrzeni jego istnienia. Zadawanie śmierci słabszym, bezbronny, nieostrożnym czy wreszcie dobronny, stało się w praktyce *nowym* przykazaniem "Śmierć frajerom!", o wiele **silniejszym** od "Nie zabijaj!".

Chrześcijaństwo, choć *nigdy* nie zabrało się do totalnej rozprawy z zabijaniem, jak to nakazuje Dekalog, pierwsze jednak zaczęło wnosić jakiś *porządek* do tego grzesznego procederu. Papieskie apele, żeby walczące strony *powstrzymały się* od działań orężnych w czasie świąt, były ważnym krokiem naprzód w poddawaniu nieokiełznanym praw wojny choćby minimalnej samokontroli.

Potem, choć nie z najwyższego szczebla Kościoła, przyszła kolej na podanie *moralnej klasyfikacji* zjawiska wojny.

Nie było to, co prawda, nawoływanie do eliminacji wojen jako *sprzecznych* z Piątym Przykazaniem, ale przynajmniej była to próba wyznaczenia im dopuszczalnych granic tolerancji.

C. "Wojny sprawiedliwe".

Historyczną zasługę ma w tej dziedzinie Francisco de Vitoria, hiszpański dominikanin i profesor uniwersytetu paryskiego, żyjący w latach 1486-1546, uważany dziś za *ojca* prawa międzynarodowego.

De Vitoria, dokonując klasyfikacji wojen, podzielił je na "sprawiedliwe" i "niesprawiedliwe".

Za **bezdyskusyjny** grzech i zbrodnię de Vitoria uznał "niesprawiedliwą wojnę".

Natomiast za moralnie **dopuszczalną** uznał "wojnę sprawiedliwą", *bellum iustum* (x), zakreślając jej jednak nieprzekraczalną granicę, sprowadzając się **wyłącznie** do wojny obronnej i to dopiero *po* wyraźnym stwierdzeniu aktu agresji.

(x) pierwszym, który użył tego określenia, nie rozwijając go, był Ciceron, rzymski mąż stanu i filozof (106-43 p.n.e.)

Ten milowy krok naprzód, aczkolwiek setkami lat ledwie zauważalny, był *przełomem* w spojrzeniu człowieka na zjawisko wojny. Mnich-profesor nie postulował przepędzenia zabijania z postępowania ludzkiego, uważając to zapewne za nierealne, ale próbując postawić poza prawem przynajmniej **niektóre** rodzaje wojen, dokonał *wiekopomnego* dzieła.

Po de Vitorii długo panowała cisza wokół podniesionego tematu. Wojny, z reguły *niesprawiedliwe*, z towarzyszącym im okrucieństwem, toczyły się po staremu, z Wojną Trzydziestoletnią jako nową "rekordzistką" pod tym względem.

O "wojnie sprawiedliwej" zapomniano więc, aż przypomnieli sobie o niej marksiści-leniniści, ale dla nich *każda* wojna służąca rewolucji była "wojną sprawiedliwą", albo "postępową", co zamiast posunąć sprawę do przodu - cofnęło ją.

Po marksistach-leninistach "wojną sprawiedliwą" zajęło się dopiero NATO wiosną 1999 r., ale temat ten będzie poruszony w innym miejscu.

D. "Wojny racjonalne".

Zjawiskiem wojny, w sposób o wiele bardziej "fachowy" niż de Vitoria, Marks czy Lenin, zajął się pruski generał i pisarz Karl von Clausewitz, wykładając swoje poglądy w 3-tomowym dziele "O wojnie", wydanym w latach 1832-1834. Przerażony bezmyślnością i okrucieństwami wojny, Clausewitz starał się znaleźć jej *racjonalne* wyjaśnienie. Formułując stwierdzenie, że wojna jest "kontynuacją polityki innymi środkami", chciał ją w ten sposób poddać **rozumnej** kontroli, znaleźć w niej *racjonalny* pierwiastek i oczyścić ją z *nieracjonalnych* ekscesów.

Clausewitz, aczkolwiek w badaniu zjawiska wojny dokonał, jak ongiś Vitoria, olbrzymiego kroku naprzód, w ogólnym spojrzeniu na jej istotę **cofnął** się jednak w porównaniu do niego.

Jego "racjonalna wojna" bowiem, była wojną moralnie *dopuszczalną* w swojej istocie, byle tylko była **racjonalnie** uzasadniona, podczas gdy Vitoria uważał za *niedopuszczalną* każdą wojnę, jeśli nie była "wojną sprawiedliwą".

Cechą wspólną dla obu poglądów był *rozsądek*, element *hamujący* pęd do wojny.

Zarówno jednak "racjonalna wojna", jak i "sprawiedliwa wojna", niestety, pozostają **nadal** wojnami, z zabijaniem jako ich "esencją".

Czym zaś jest owa "esencja" wyjaśnił **najtrafniej** angielski admirał Sir John Fisher, pisząc o niej w 1905 r. jak następuje:

- "esencją wojny jest **GWALT**", *umiar w wojnie jest GŁUPOTA, uderzaj*

PIERWSZY! Bij MOCNO! Bij GDZIE POPADNIE! (duże litery w oryginale Admirała).

Niemal dokładnie to samo, choć innymi słowami, powiedział w maju 1999 r., odchodzący w stan spoczynku, niemiecki generał Klaus Naumann, szef Operacji Wojskowych NATO, krytykując "niemrawe" ataki sojuszniczego lotnictwa w Jugosławii.

Czyżby wzorem ataków lotniczych miała być dla Generała hitlerowska Luftwaffe, która bombardując Belgrad 6 kwietnia 1941 r. zabiła i raniła ok. 20 tys. jego mieszkańców?

Wojna "racjonalna", podobnie jak "sprawiedliwa" czy każda inna, co najważniejsze, pozostaje **zabijaniem** i nieważne już z jakich pobudek i gdzie są jej nieprzekraczalne granice.

Raz rozpoczęta, co gorsza, kieruje się odtąd **własnymi** prawami.

Prawa wojny zaś zamykają się do takich sentencji, jak że "w miłości i na wojnie wszystko jest dozwolone", "inter arma silent leges", "w czasie wojny milkną prawa", "inter arma silent Musae", "w czasie wojny milkną Muzy", czy jak najtrafniej ujął to Heraklit 2,5 tysia lat temu "wojna jest ojcem wszystkiego co możliwe".

Wojna, "sprawiedliwa", "racjonalna", czy każda inna, rządząc się swoimi prawami, jest zatem **okrucieństwem** i co najwyżej różnice mogą dotyczyć jego skali oraz formy.

A demokracja, gdyż o dyktaturach nie ma co mówić, okrucieństwa w wojnie **nie może** tolerować. A jeśli już zdarza się, to sprawców *powinna* karać prawem wojennym.

Niestety, nawet demokracje też mają "swoje" prawa wojny. Wojskom amerykańskim w Wietnamie nikt nie wydawał rozkazu mordowania ludności cywilnej, a jednak por. William Calley ze swoim plutonem zamordował 16 marca 1968 r. w wiosce My Lai, urządzając orgiastyczne sceny, 347 bezbronných dzieci, starców i kobiet. Za czyn, co prawda, został zasądzony na dożywocie, ale po kilku latach wyszedł na wolność (nikt inny z jego plutonu nie był sądzony). Podobnie, 9 kwietnia 1948 r., w czasie I wojny izraelsko-arabskiej, dwie żydowskie organizacje, dla jednych niepodległościowe, a dla drugich terrorystyczne, Stern i Irgun Zvai Leumi, zamordowały 254 cywilnych i bezbronných Palestyńczyków w wiosce Deir Yasin, co spowodowało masową ucieczkę setek tysięcy innych przed podobnym losem. Winnych mordu nigdy nie znaleziono, albo ich nie szukano, a obie organizacje wcielono bez żadnych problemów do nowopowstającej armii.

W wojnie "racjonalnej" czy "sprawiedliwej", zwycięża zatem **nie** walczący o słuszną sprawę, ale silniejszy, bezwzględniejszy, chytrzejszy i agre-

sywniejszy. W wojnie zresztą, wszystko jest *względny*m pojęciem. Gdyby w II wojnie światowej zwyciężył Hitler, to okrzyknąłby swoje zwycięstwo, między innymi, jako triumf "nad polskimi agresorami", którzy jakoby rozpoczęli wojnę - jak to głosiła goebelsowska propaganda - atakiem na niemiecką radiostację w Gliwicach!

Unikając tłumaczenia zasadności wojen jakimiś "łamańcami moralno-myślowymi", lepiej ich z góry **niczym** nie rozgrzeszać, gdyż bez względu na to jak się zaczną - dalej już będą rządzić się *niezmiennymi* od tysięcy "własnymi prawami".

E. Postępujące zwyrodnienie wojny.

Wojny były **zawsze** zwyrodniałe, a co najwyżej stopień ich okrucieństwa mógł się różnić od przypadku do przypadku. Starożytni Rzymianie, twórcy słowa i pojęcia "humanizm", słynęli z okrucieństwa zarówno w czasie wojny jak i pokoju. Ich miejsce i im podobnych, niestety, zajęli następcy wcale od nich nie mniej okrutni.

Dziś, co prawda, jeńców nie obdziera się żywcem ze skóry, jak to nieraz czynili cywilizowani starożytni Grecy, ale obcina im się głowy i zakopuje żywcem, jak to robili Japończycy w czasie II wojny światowej, czy masowo głodzi na śmierć, jak to uprawiali Niemcy z sowieckimi jeńcami, albo rostrzeliwuje, tak jak NKWD polskich jeńców.

Walczą się jednak **głównie** z ludnością cywilną. Nikt, co prawda, jak ongiś Czyngis-chan, nie lubuje się widokiem masowo wyrzynanych dzieci i kobiet podbijanych ludów, ale dziś zabija się ich *więcej* w komorach gazowych, głodem czy obrzucaniem bombami z wysoka, z atomowymi włącznikami. Zanim NATO zniszczyło 23-piętrową kwaterę partii socjalistycznej w Belgradzie, ilość znajdujących się w niej potencjalnych ofiar cywilnych szacowano z zimną krwią na 50-100, podczas gdy tych w sąsiedztwie na 250-350. Jak na demokratyczną organizację, którą jest NATO, nie będącą w stanie wojny z Jugosławią, walczącą jakoby *wyłącznie* ze Slobodanem Miloszewiczem i jego "machiną wojenną", było to *barbarzyństwo* godne tych z przeszłości. Głównodowodzący NATO, gen. Wesley Clark, jak to opisuje dziś prasa amerykańska i innych krajów Sojuszu, nie mógł podobno ścierpieć wieców ludności i koncertów Rock 'n' Roll na moście rzeki Sawa w Belgradzie, reagujących w ten sposób na ataki lotniczo-rakietowe. Przed zbombardowaniem tłumów i mostu powstrzymali go dopiero Francuzi...

Wojnę z Jugosławią zresztą, NATO wygrało właśnie dzięki walce z *ludnością cywilną* przez pozbawianie jej światła, wody, snu, pracy, artykułów

pierwszej potrzeby, a w końcu nierzadko życia i zdrowia. Wojsku jugosławińskiemu w Kosowo dla odmiany, które jakoby było głównym celem ataków lotniczo-rakietowych, jak o tym po wojnie przekonano się naocznie, niemal nie wyrządzono strat.

Winę za postępujące zwyrodnienie wojny, paradoksalnie, ponosi postęp naukowo-techniczny, nadzieja ludzkości na "lepsze jutro".

Dzięki niemu bowiem wojna ulega *odczłowieczeniu*, stając się coraz bardziej wojną **nie** ludzi, ale *przedmiotów uśmiercania*, zautomatyzowanych i zrobotyzowanych. Klasyczne wojny, nawet najokrutniejsze, miały mimo wszystko "*ludzkie tchnienie*", człowiek walczył z człowiekiem, nierzadko mając współczucie dla przeciwnika i pokonanemu darując życie.

Obecnie, nawet kobiety wystrzelują skrzydlate rakiety z amerykańskich okrętów wojennych, siejące śmierć wśród oddalonych o setki kilometrów nieznanymi im ludzi (jedna z takich rakiet, wystrzelona w sierpniu 1998 r. do celu w Afganistanie, przelatując nad Pakistanem i eksplodując przypadkowo zabiła 5 osób...).

No cóż, jak tak dalej pójdzie, to przyjdzie czas, że załogi obsługujące międzykontynentalne rakiety "ziemia-ziemia" i "woda-ziemia" - wystrzelały je kiedyś do celów na tysiące kilometrów, posyłając na śmierć *setki milionów* ludzi. Albo "Kazbek", automatyczny system dowodzenia strategicznego w Rosji, uruchomił się samoczynnie, w wyniku awarii czy z innych powodów, posyłając w świat tysiące głowic nuklearnych...

Nie poddając się jednak apokaliptycznym wizjom, należy założyć, że mimo coraz bardziej odczłowieczonej wojny - *człowiek* ją wywołuje, a **nie** martwe przedmioty. I jego zadaniem jest **nie dopuszczać** do wojny.

Wojna **musi** być odrzucona jako wojna, a nie usprawiedliwiana clausewitzowskim "*kontynuowaniem polityki innymi środkami*" czy dowolnie interpretowaną witoriańską "*wojną sprawiedliwą*".

2. Stare problemy - nowe niebezpieczeństwa.

A. Dobrymi chęciami...

Jak mówi porzekadło - dobrymi chęciami piekło jest brukowane...

Ludzkość wojuje już od tysięcy lat i zawsze z jakichś powodów. Pozostawiając chwilowo na uboczu powody, sprawą o pierwszorzędym znaczeniu był i pozostał *sposób* rozpoczynania wojny.

Zwyrodnienie wojny, poza cytowanymi powyżej przykładami, przeja-

wia się *najdobitniej* właśnie w sposobie jej rozpętywania, czego konkretne przykłady były cytowane w I rozdziale. W ostatnim stuleciu II tysiąclecia ludzkość zrobiła pod tym względem krok wstecz. Jeszcze I wojna światowa zachowała pewne z trudem zdobyte przez ludzkość *reguły gry* w niechlubnym procederze wzajemnego wyrzynania się, co przejawiało w wypowiedaniu sobie wojny. Niestety, w znacznym stopniu już II wojna światowa odstąpiła od tej reguły, wobec czego proces zaniechania wzajemnego wypowiedania sobie wojny **nadal** trwa, z łatwymi do przewidzenia skutkami.

USA na przykład, ostatnią wypowiedzianą wojnę walczyły w latach 1941-1945. W Korei, w koalicji pod flagą ONZ, USA wojowały już bez jej wypowiedzenia stronie przeciwnej, podobnie jak strona przeciwna nie wypowiedziała wojny koalicji. Identycznie USA wojowały w Indochinach, Grenadzie, Panamie, Zatoce Perskiej, Jugosławii i wielu innych miejscach.

ZSRR nie wypowiedział wojny Afganistanowi, Węgrom ani Czechosłowacji, Chiny nie wypowiedziały Tybetowi, Indiom ani Wietnamowi, atakując jego prowincje północne w lutym-marcu 1979 r. dla dania mu "nauczki" za jego atak i zajęcie Kambodży Pol-Pota, popieranej przez Chiny. Wietnam z kolei, zajmując ją na przełomie lat 1978-1979, również nie wypowiedział jej wojny.

Irak nie wypowiedział wojny Iranowi ani odwrotnie, a w ciągu 8-letnich walk, w których padło ok. 1,5 mln. ludzi, oba kraje nie zerwały ze sobą nawet stosunków dyplomatycznych!

Argentyna nie wypowiedziała wojny Anglii o Falklandy, zajmując je z nienacka, ani Anglia nie wypowiedziała Argentynie, przy ich odbijaniu.

Izrael tradycyjnie nie wypowieda wojny swoim bliższym i dalszym sąsiadom arabskim ani oni jemu, choć od ponad pół wieku, z różnym natężeniem, toczą ze sobą walki.

Koalicja pod przewodem USA, walcząca z Irakiem w styczniu-lutym 1991 r., nie wypowiedziała mu wojny ani on koalicji. USA z Anglią, bombardując go następnie niemal bez przerwy od grudnia 1998 r., choć na małą skalę, wojny mu nadal nie wypowiedają ani on im.

NATO wreszcie zaatakowało z powietrza Jugosławię 24 marca 1999 r., wojowało z nią przez prawie 79 dni, nie wypowiadając jej wojny ani odwrotnie.

Przykładów tego rodzaju jest znacznie więcej.

Nie wiadomo nawet, co gorsza, co może być przyczyną wojny. USA uważają za przyczynę Nr.1 wojny atak na swoje siły zbrojne. Ale, 8 czerwca 1967 r., amerykański okręt wojenny "USS Liberty" został zaatakowany przez lotnictwo izraelskie na wodach międzynarodowych na Morzu Śródziemnym,.

Mowy o pomyłce nie było, gdyż piloci izraelscy robili przyjazne gesty w kierunku załogi okrętu i nawzajem, aż doszło raptem do ataku, w wyniku którego z 300-osobowej załogi zginęło 34 marynarzy, a 171 zostało rannych. Leczące na pomoc okrętowi myśliwce amerykańskie zawrócono w drodze, a całą sprawę pokryto milczeniem, do dnia dzisiejszego.

Z Panamą było jednak inaczej. Za zabicie amerykańskiego piechura morskiego przez panamskich żołnierzy, kraj został 20 grudnia 1989 r. zaatakowany przez siły zbrojne USA., zdobyty, szef państwa aresztowany (siedzi do dziś w amerykańskim więzieniu), a na koniec stworzono mu nowy rząd.

Obłąd! Nikt już nie wie *co* będzie dalej, ale jeśli wybuchnie kiedyś III wojna światowa, to najprawdopodobniej **nie będzie** zadeklarowana przez żadną ze stron.

Bo i po co? Kto i gdzie będzie potem dochodził, która z nich była agresorem? Nikt w dociekaniu prawdy, jeśli tylko wojnę przeżyje, nie ustali minut i sekund skąd najpierw poleciały rakiety...

I tak, nie wypowiadając wojen, ale niemal bez przerwy je prowadząc, ludzkość stacza się w przepaść. Czyniąc z wojny "*nie-wojny*", jakieś "*chirurgiczne operacje*" (surgical operations), w postaci "*ciężkiego bombardowania*" (heavy bombardment), jak to od lat nazywa i propaguje wielu polityków oraz komentatorów amerykańskich - ludzkość **niebezpiecznie** trywializuje wojnę.

"Wojny-niewojny" są szczególnie groźne, kiedy je wywołuje się, jak to było w przypadku Jugosławii, z pobudek obrony "praw człowieka", dotąd **nieznanego** w historii powodu wojen.

Prawa człowieka, to niewątpliwie **święta** rzecz, ale rozpoczynanie i prowadzenie wojen w ich imieniu - wymaga *głębszych* refleksji.

Brak poszanowania praw człowieka uważa się, bardzo słusznie, za *powód* niepokojów społecznych i politycznych, za glebę dla rozkwitu przemocy na wewnątrz i nazewnątrz krajów, co w określonych warunkach *może* doprowadzić do wojny domowej, regionalnej czy nawet światowej. Prawdą jest bowiem, że odmowa poszanowania praw jednostki, rozciągająca się czasem na całe grupy ludnościowe, jest *naruszaniem* wolności, sprawiedliwości, a w końcowym rachunku pokoju.

Zdefiniowanie praw jednostki ludzkiej, gdyż stąd biorą się "prawa człowieka", tym razem w cudzysłowie, gdyż tak najczęściej określany jest ten podstawowy, uniwersalny i niezbywalny *zespół* przysługujących człowiekowi praw, nie wywołuje w świecie większych kontrowersji. Każdemu człowiekowi, bez względu na jego płeć, urodzenie, rasę, narodowość, język, wyznanie, poglądy polityczne, stan majątkowy i zdrowie - przysługują *określone*

prawa. Co to są za prawa i co jest ich źródłem, jest już nierzadko *sporną* sprawą od kraju do kraju.

Pierwszymi aktami "praw człowieka" była już angielska Magna Charta Libertatum z 1215 r. oraz angielski Bill of Rights z 1689 r., wymieniając tylko te najważniejsze. W praktyce niewiele to oznaczało, gdyż nawet w Anglii, która przodowała pod tym względem, ludzi masowo torturowano i tracono, w tym nieletnich, jeszcze długo po wydaniu tych aktów.

Olbrzymim krokiem naprzód w dziedzinie definiowania "praw człowieka" były XVII-wieczne filozoficzne koncepcje "naturalnych praw jednostki", mające religijne podłoże. Stworzenie człowieka przez Boga - argumentowano - czyni z człowieka "istotę boską", o *wyjątkowej* roli na Ziemi, istotę *godną* ochrony. A ponieważ człowiek w *stanie naturalnym* jest wolny i równy sobie, więc dla jego ochrony płynęły stąd dalsze konsekwencje, jak zachowanie tego *stanu* jednostki w grupie, w społeczeństwie. Wyjście znalezione w konieczności zawierania *umów* pomiędzy jednostkami. Umowy, rzecz oczywista, musiały prowadzić do *ograniczania* "praw indywidualnych" na rzecz "praw wspólnych", dla uniknięcia anarchii i bezprawia, zagrażających egzystencji jednostki.

W *umowie wspólnej* jednakże, niektóre **podstawowe** "naturalne prawa jednostki", jak prawo do życia i wolności osobistej naogół nie były kwestionowane, ale prawo do posiadania własności indywidualnej zaczęło już budzić spory.

Filozoficzne ujęcie zagadnienia, aczkolwiek niezmiernie ważne, nie tworzyło jeszcze "praw wspólnych", gdyż rola ta przypadła państwu, "organizatorowi" społeczeństwa. W praktyce oznaczało to, że tyle było "praw człowieka" - ile tworzyło ich państwo.

Jak państwa tworzyły i nadal tworzą prawa, jest już zupełnie *oddzielnym* zagadnieniem, choćby z tego powodu, że **różne** są państwa i przykładanie do nich jednej tylko miarki jest bezsensowne. U podstaw każdego państwa leżą bowiem *odmienne* tradycje, kultury, wyznania, doświadczenia historyczne, a nawet różnice w materialnym bycie, rzecz niezwykle istotna.

Z tych i innych powodów, za "prawa człowieka" w skali międzynarodowej zabrano się więc późno, po II wojnie światowej, przy okazji tworzenia ONZ w 1945 r., gdzie w Karcie Narodów Zjednoczonych, w Art. 1, znalazło się zdanie, że "*jednym z głównych celów (Organizacji) jest popieranie i zachęcanie do popierania praw człowieka...*". ONZ, w 1948 r., uchwalił ponadto "Deklarację Praw Człowieka", a w 1966 r. "Pakty Praw Człowieka". Niezależnie od tych podstawowych aktów międzynarodowych istnieje jeszcze ok 60 różnych konwencji szczegółowych, które są ich rozwinięciem. Uzupe-

niem do nich są ponadto różne regionalne akty wiążące ich sygnatariuszy.

Z całą mocą należy jednak podkreślić, że **żaden** z tych aktów nie przewiduje *użycia siły* dla wymuszenia ich przestrzegania, choć w praktyce nie zawsze jest to honorowane. Dopuszczalnymi działaniami "wspólnoty międzynarodowej" są jedynie wszelkiego rodzaju sankcje o **niewojzkowym** charakterze.

Problemem bowiem jest respektowanie **suwerennych** praw państwa, na którego terytorium, mogą zaistnieć przypadki naruszania "praw człowieka".

Konflikt między jednym i drugim wchodzi więc w sferę *prawa międzynarodowego*, bez którego świat byłby dżunglą. Jego istnienie jest zaś możliwe tylko dlatego, że tworzącymi go podmiotami są *suwerenne* państwa.

Suwerenna władza państwowa, to kolejny i skomplikowany problem. Ongiś należąca do indywidualnego władcy, monarchy, panującego "z łaski boskiej", a od Rewolucji Amerykańskiej i Francuskiej (pomijając starożytną demokrację ateńską), "z łaski ludu", sprawującego ją bezpośrednio lub pośrednio poprzez wybrane organy przedstawicielskie.

W państwach niedemokratycznych sprawy wyglądają inaczej, ale w praktyce międzynarodowej każdą *efektywnie* sprawowaną władzę na terytorium określonego państwa uznaje się faktycznie za *prawowitą* władzę. W przypadku zaś przynależności takich państw do ONZ, są one uważane za *suwerenne* jak każde inne (państwo niesuwerenne nie może być członkiem ONZ). Zakłada się też, że podpisując się pod Kartą Narodów Zjednoczonych i innymi konwencjami międzynarodowymi, każde państwo jest *uznanym* podmiotem prawa międzynarodowego.

Z "nową" Jugosławią, utworzoną w kwietniu 1992 r. przez Serbię i Czarnogórę, sytuacja jest nieco skomplikowana, gdyż automatycznego członkostwa w ONZ po "starej" nie otrzymała, ani wniosku o akcesję nie złożyła, zadawałając się statusem obserwatora.

Suwerennych praw "nowej Jugosławii" *nikt* jednak nie kwestionuje, ani *nikt* nie zarzuca jej niedemokratycznego wyboru władz państwowych. Fakt, że w Dayton, w grudniu 1995 r. podpisano z nią wstępne porozumienie w sprawie Bośni, następnie potwierdzone porozumieniem z Paryża, dobitnie świadczy o uważaniu jej za **w pełni** suwerenne państwo i podmiot prawa międzynarodowego. Zresztą, Art. 35 Karty Narodów Zjednoczonych nawet nie członka ONZ uważa za taki podmiot, jeśli zgadza się on na arbitraż pod jej auspicjami, na co "nowa" Jugosławia zawsze się zgadzała (przed atakiem NATO wpuściła do Kosowa grupę obserwatorów OBWE, Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, pod kierownictwem Amerykanina, z docelową ich ilością w wysokości 2 tysięcy.

Z tego też powodu potraktowanie Jugosławii przez NATO jako kraju faktycznie wyjątego spod prawa, bez suwerennych praw, jest **pogwałceniem** prawa międzynarodowego.

Atak NATO na Jugosławię, konkretyzując powyższe stwierdzenie, pogwałcił szereg międzynarodowych aktów prawnych, pomijając już ustawodawstwo jego państw członkowskich, a mianowicie:

- Pakt Brianda-Kelloga z 1928 r., wyrzekający się wojny jako środka rozwiązywania sporów między państwami (pakt był potem naruszony przez liczne państwa, ale nadal jest uznawany przez jego sygnatariuszy);

- liczne artykuły Karty Narodów Zjednoczonych, a zwłaszcza punkt 7-my Art. 2-go, wyraźnie stwierdzający, że "*nic nie może upoważniać Narodów Zjednoczone do mieszania się do spraw, znajdujących się w jurysdykcji jakiegokolwiek innego państwa*", jak też Art. 33, który jako drogi rozwiązywania sporów międzynarodowych wymienia *jedynie* pokojowe;

- Art. 1 Traktatu Waszyngtońskiego, *ustanawiającego* NATO, który stwierdza, powołując się na Kartę Narodów Zjednoczonych, że układające się strony zobowiązują się "*rozwiązywać jakiegokolwiek międzynarodowe spory, w które mogą być zaangażowane, pokojowymi środkami ..., jak też, że "będą powstrzymywać się od gróźb i użycia siły...*" (podkreślenia moje; Z.R.);

- Art. 5 oraz Art. 6 Traktatu Waszyngtońskiego, które wyraźnie stwierdzają, że NATO jest **obronnym** Sojuszem, działającym wyłącznie *na swoim własnym obszarze*, a jeśli już nie, to *na wyraźnie określonym* (podkreślenia moje; Z. R.).

Do tego obszaru **nie zaliczono** Jugosławii, nie mówiąc już o tym, że **nie zaatakowała** ona żadnego kraju NATO. Przeciwnie, to NATO ją zaatakowało i to **bez** wypowiedzenia jej wojny;

- Konwencję Haską z 1907 r., zabraniającą zbiorowego karania ludności cywilnej za czyny jednostek. Nie zadeklarowana zaś wojna NATO "przeciwko Miłoszewiczowi", stała się faktycznie wojną przeciwko jugosłowiańskiej ludności cywilnej, z tysiącami zabitych i rannych, niszczeniem urządzeń komunalnych, dróg oraz mostów, a także miejsc pracy, nie mówiąc już o skażeniu środowiska naturalnego, a więc czynów **zakazanych** również Konwencją Genewską z 1949 r.;

- Art. 52 Konwencji Wiedeńskiej z 1980 r., która **nie uznaje** porozumień międzynarodowych wymuszonych siłą czy pod groźbą użycia siły. NATO tak właśnie próbowało postępować w Rambouillet w lutym-marcu 1999 r., narzucając Jugosławii warunki porozumienia **niezgodne** z jej prawem do suwerenności państwowej (Jugosławia, w rzeczywistości, na narzucany jej przez

NATO projekt porozumienia zgodziła się, ale w ostatniej chwili USA, do "Załącznika B" porozumienia, włączyły pkt. 8, przewidujący jej *faktyczną okupację* przez wojska Sojuszu, co odrzuciła, czym ściągnęła na siebie wojnę);

- Rezolucję Rady Bezpieczeństwa ONZ Nr. 1199 z 23 września 1998 r., za przyjęciem której głosowały USA, Anglia i Francja, jej stali członkowie oraz najbardziej aktywni w wojnie przeciwko Jugosławii członkowie NATO (Rezolucja zapowiadała, że Rada Bezpieczeństwa *powtórnie* zajmie się sytuacją w Kosovo, o ile zajdzie taka potrzeba. Rada NATO jednak, podejmując 12 października 1998 r. decyzję "ACTORD", pierwszą w jego historii, uruchomiła *poza* systemem ONZ mechanizm przygotowań do działań powietrznych przeciwko Jugosławii w ciągu 4 dni, w razie jej powtórnej decyzji przystąpienia do działań wojennych);

- Art. IV helsińskiego Aktu Końcowego z 1975 r. o *integralności terytorialnej* jego sygnatariuszy. NATO, domagając się w Rambouillet od "nowej Jugosławii", której integralności terytorialnej nie kwestionowało, przeprowadzenia w Kosovo referendum odnośnie jego dalszego statusu, praktycznie próbowało **podważyć** postanowienia Aktu Helsińskiego, gdyż nie ulegało wątpliwości, że Albańczycy, stanowiący większość ludności prowincji, zechcą ją oderwać od Jugosławii.

NATO, co prawda, pod naciskiem Rosji, wycofało się potem z tego żądania, zgadzając się też formalnie na oddanie Kosowa pod czasowy protektorat Rady Bezpieczeństwa ONZ, podporządkowując też jej, formalnie, swoje wojska wkraczające do prowincji, w rzeczywistości jednak sprawa jest bardziej skomplikowana. Wojska NATO nie mogą i nie zawsze chcą zapewnić ochronę Serbów przed albańskim terrorem, w efekcie czego doszło do ich masowej ucieczki (według jugosłowiańskich źródeł z końca września 1999 r. ok. 250 tys. Serbów było zmuszonych opuścić miejsce zamieszkania w Kosovo, aczkolwiek nie jest jasne czy wszyscy z nich uciekli do Serbii i Czarnogóry; ilość zamordowanych Serbów miała wynieść 400, porwanych 500 oraz rannych 600).

I tak oto, stwarza się sytuację faktów dokonanych, zgodnych z niektórymi pierwotnymi pomysłami NATO *oderwania* Kosowa od Jugosławii (na koniec września 1999 r., według niektórych doniesień, USA chcą uczynić Kosovo obszarem niepodległym, faktycznie łącząc go z Albanią, ale inne kraje NATO, głównie Niemcy i Włochy, oponują temu).

Jeśli istotnie do tego dojdzie - będzie to **pierwsza** w powojennej historii Europy zmiana granic państwowych, wymuszona siłą.

Nie trzeba chyba dodawać, że jest to *groźne memento* dla Polaków.

Faktem jest bowiem, że NATO, dokonując ataku powietrzno-rakietowego przeciwko Jugosławii w imieniu obrony "praw człowieka", pomijając już na ile słusznie, stworzyło **precedens** na przyszłość.

Problem jest o tyle niepokojący, że zamiast położyć kres naruszaniu "praw człowieka" w Jugosławii - w wyniku wojny doszło do **nowych** aktów ich naruszania. Albańczycy, których miano bronić, padli ofiarą masowych represji ze strony Serbów za ściągnięcie na kraj wojny, a nierzadko sami ginęli od bomb natowskich, potwierdzając tylko powiedzenie, że "*dobrymi chęciami piekło jest brukowane*"...

B. Kogo bić?

"Koncepcja strategiczna" NATO, przyjęta na jego waszyngtońskim szczycie w kwietniu 1999 r., a jeszcze bardziej czerwcową Doktryną Clintona Nr. 2, nie pozostawiają wątpliwości, że odąd już USA wraz z NATO będą podejmować działania zbrojne **nie tylko** w obronie własnej, ale także zaczepne, na razie w imię obrony "praw człowieka", ale kto wie czy na tym będzie koniec.

Decyzja ta, pomijając jej ocenę w świetle prawa międzynarodowego, powinna wywołać debatę w parlamentach krajów członkowskich NATO, gdyż Traktat Waszyngtoński, podstawa istnienia NATO, został faktycznie radykalnie **zmieniony** przez "Koncepcję", co powinno pociągnąć preredagowanie jego niektórych artykułów, zwłaszcza Art. 5, podstawowego, nowej jego parlamentarnej ratyfikacji. Nic jednak na ten temat nie słychać i stąd **nie wiadomo** na ile "Koncepcja" jest naprawdę obowiązująca.

Przyjmując jednak, że "w razie potrzeby" NATO będzie prowadzić działania zbrojne **poza** określonymi przez Traktat Waszyngtoński granicami, to powstaje pytanie - . gdzie są "granice tych granic"? W "Koncepcji" *nie jest* to jasno zdefiniowane, ale należy zakładać, że wszędzie tam, gdzie według NATO zajdzie tego potrzeba.

Sprawa nie kończy się na ewentualnych działaniach zbrojnych NATO, ale także ma obejmować *policyjną* działalność, do której należy aresztowanie winnych przestępstw przeciwko "prawom człowieka" i oddanie ich wymiarowi "sprawiedliwości międzynarodowej".

Z wymiarem tej sprawiedliwości jest jednak kłopot. Po II wojnie światowej, Wielka Czwórka utworzyła Norymberski Trybunał dla sądenia hitlerowskich zbrodniarzy wojennych, ale po spełnieniu swojej misji został on rozwiązany.

Obecny Międzynarodowy Sąd Karny dla Spraw b. Jugosławii z siedzibą w Hadze, powołany do życia decyzją Rady Bezpieczeństwa z 25 maja 1993 r., dotyczący spraw jednego tylko państwa, jest bowiem więc *nie wystarczający* dla działań w szerszej skali.

Jego skuteczne działania bowiem ograniczają się do obszarów, na których stacjonowane są wojska NATO, aktualnie *tylko* do Bośni. W Kosovo natomiast, ze względu na veto Rosji, wojska NATO już takich uprawnień nie mają. Stawianie więc przed trybunał domniemych przestępców wojennych, o ile sami dobrowolnie nie zgłoszą się lub jakieś państwo ich nie wyda, uwarunkowane jest faktyczną *okupacją* obszaru, na którym mogą się oni znajdować. W praktyce oznacza to *zdobywanie* przez NATO "obszaru przestępczego" w każdym przypadku, zadanie w wykonaniu wcale nie takie proste. **A jeśli nawet,**

Wojska NATO ponadto, nierzadko występujące pod znakiem Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, dla przeprowadzenia aresztowań oskarżonych o przestępstwa wojenne, stwarzają *wysoce niebezpieczną* sytuację dla działalności tej renomowanej instytucji humanitarnej.

I wreszcie, metoda tajnych oskarżeń jest *niedopuszczalna* w procesie sądowym, a "trybunał" ją nagminnie stosuje, stwarzając tym podejrzenia co do prawdziwych celów jego działalności.

Sądzenie oskarżonych o zbrodnie wojenne mógłby rozwiązać utworzony 17 lipca 1998 r. w Rzymie Międzynarodowy Sąd Karny, ale ratyfikacja porozumienia będzie trwać latami, a co gorsza - USA *wykluczyły* z góry podanie się jego jurysdykcji (nie uznają też jurysdykcji obecnego Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości, zwanego Trybunałem Haskim).

Jeśli coś nie ulegnie zmianie, rodzi się zatem *wysoce anormalna* sytuacja w świecie, gdzie obywatele jednych krajów mogą znaleźć się na ławie podsądnych, podczas gdy inni będą faktycznie *ponad* prawem międzynarodowym. Ten stan rzeczy jest o tyle dziwolągim z punktu widzenia tego prawa, że USA, jak to świadczą o tym kroki podejmowane przez ich władze państwowe i sądownicze przy okazji odzyskiwania pożydowskiego mienia, utraconego w czasie II wojny światowej w Europie, uważają się za uprawnione do wytaczania spraw cywilnych nie tylko obcym osobom prywatnym, ale także rządowi.

System międzynarodowej sprawiedliwości **nie powinien** być jedynie "ruchem jednokierunkowym".

Jugosławia na przykład, wniosła 29 kwietnia 1999 r. skargę do Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w Hadze przeciwko 9-ciu krajom NATO, USA w pierwszym rzędzie, z zarzutem dokonanej przez nie agresji

przeciwko jej suwerenności.

Trybunał, decyzją z 2 czerwca 1999 r., uznał się jednak się za *niekompetentny* w sprawie, gdyż USA z Hiszpanią, kraje oskarżone przez Jugosławię o agresję, po prostu nie uznają jego jurysdykcji i rozprawa **nie mogła** się w efekcie odbyć. Tyle tylko, że Trybunał dał niedwuznacznie do zrozumienia, że akcja wojskowa NATO była **niezgodna** z Kartą Narodów Zjednoczonych.

Tak ważna więc sprawa, jak *ustalenie* winy w świetle prawa międzynarodowego za akt agresji - skończyła się na niczym. Paradoks tej sytuacji polega dodatkowo na tym, że NATO z kolei, przed rozpoczęciem nalotów na Jugosławię, oskarżało ją o *agresję* w Kosovo, nigdy jednak nie wnosząc odpowiednio udokumentowanego zarzutu do "trybunału" ani on sam też z takim zarzutem nie wyszedł.

Tymczasem, 27 maja 1999 r., prokurator "trybunału jugosłowiańskiego" wniosła na jego wokandę oskarżenie o "zbrodnie wojenne" przeciwko prezydentowi Jugosławii Slobodanowi Miloszeviczowi, w historii *pierwszy* tego rodzaju przykład wobec urzędującej głowy państwa oraz czterem jego najbliższym współpracownikom (jak dotąd, oskarżenie *nie zawiera* udokumentowanych zarzutów).

W chwili obecnej **nie jest** jasne jak potoczy się dalej wszczęte postępowanie, gdyż Rosja z Chinami, stali członkowie Rady Bezpieczeństwa, której podlega "trybunał", nie chcą o nim słyszeć (według nie potwierdzonych wiadomości również niektórzy inni stali członkowie Rady, USA nie wyłączając, są identycznego poglądu).

Jeśli tak, to prowadzenie wojny w imię "praw człowieka", kończącej się *nie karaniem* naruszających je przestępców, czyni **nieporozumieniem** taką wojnę, analogicznie do tego jakby policja i organy ścigania przestępców zadowalały się *jedynie* ich spłoszeniem.

Przy tej okazji powstaje inny i bardziej zasadniczej natury problem. Miloszeviczowi, jeszcze przed atakiem NATO, zarzucało ono "akt agresji" przeciwko Kosovo, uznawanej do dziś przezeń za *część* integralną kraju, którego był i jest nadal prezydentem!

Czyżby stąd wynikało, że władze jakiegoś kraju *nie mają* jurysdykcji nad własnym terytorium? NATO słowem nie zareagowało na łamanie praw człowieka przez Indonezję we Wschodnim Timorze, nie oskarżając jej **nigdy** o agresję ani o naruszanie "praw człowieka", choć wymordowano tam, z inspiracji rządu, dziesiątki tysięcy ludzi. NATO nie popierało też inicjatyw w ONZ, żeby bez zgody rządu indonezyjskiego doszło tam do jakiegokolwiek interwencji zbrojnej (dopiero sam rząd indonezyjski, po spóźnionych naciśkach USA i innych krajów zachodnich, "zaprosił" wojska ONZ do Wschod-

niego Timoru).

Powracając do sądzenia ewentualnych zbrodniarzy wojennych, to jest to jedynie pożądanym skutkiem wszczętej wojny w imię "praw człowieka". Wojnę trzeba jednak najpierw zacząć, wygrać ją, a dopiero następnie zbierać jej plony.

Z kim jednakże wojny takie zaczynać skoro oskarżani o naruszanie "praw człowieka" z nikim, zwłaszcza z NATO, ich nie zaczynają?

Jakie powinny być konkretne kryteria wchodzenia w stan wojny z naruszającymi te prawa, gdyż wszelkie ogólne są tutaj nie wystarczającym powodem? I czy zaraz musi być "stan wojny"? A jeśli nie, a przeciwko takiemu przestępcy podjęte są działania wojenne, to czym one są w świetle prawa międzynarodowego?

Jak uczy doświadczenie, naruszanie "praw człowieka", które wywołuje oburzenie opinii światowej, wynika niemal wyłącznie z prześladowań, zwłaszcza na tle etnicznym (w tym plemiennym) i wyznaniowym.

W realnym świecie jednakże, liczącym ok. 5 tysięcy różnych grup etniczno-językowych, nierzadko jednocześnie wyznaniowych, problem "zmieszczania się" tych grup w ramach istniejących 185 państw, szczególnie w tych, w których nie uznaje się żadnych mniejszości etnicznych, staje się niemal niemożliwym do pokojowego rozwiązania. Turcja na przykład, stosuje zasadę "Halcilik", polegającą na nie uznawaniu mniejszości narodowych na swoim terenie. Stąd krwawo tłumi wszelkie działania Kurdów na rzecz nie tylko niepodległości, ale nawet autonomii kulturalnej. Będąc jednak członkiem NATO, nikt Turcji z tego powodu żadnych wymówek nie czyni, nie mówiąc już o wszczynaniu z nią wojny o "prawa człowieka". Co więcej, nawet wtedy, gdy Turcja najechała zbrojnie Cypr w lipcu 1974 r., rzekowo w obronie mniejszości tureckiej, stanowiącej wówczas 20 procent mieszkańców wyspy, wypędzając z zajętych obszarów ok. 200 tys. Greków oraz mordując niektórych, a na koniec zajmując 40 procent jej obszaru, to NATO, którego Grecja była członkiem, pozostało głuche w obliczu tego wydarzenia.

Nikomu też w NATO nie przyszło do głowy, żeby mieszać się do trwającego od 1969 r. w Północnej Irlandii krwawego konfliktu, w wyniku którego zginęło ponad 3,5 tys. ludzi, z nagminnym naruszaniem "praw człowieka" przez władze angielskie. Podobnie jak nie mieszano się nigdy do krwawych sporów baskijsko-hiszpańskich w latach 1959-1979, dokąd Hiszpania sama po śmierci gen. Franco w 1975 r. nie znalazła rozwiązania.

Nikt, oczywiście, najmniej NATO, nic nie zdziałał w obronie "praw człowieka" w Tybecie, kiedy Chiny zajęły go w 1950 r. Jeszcze mniej interesowano się krwawymi wydarzeniami na tle etniczno-wyznaniowym w końcowym

etapie istnienia ZSRR, czy po jego rozpadzie, szczególnie w latach 1994-1996, kiedy Rosja zabiła dziesiątki tysięcy Czechenów czy obecnie, jesienią 1999 r., kiedy znów zaczyna tam działania wojenne.

Świat długo nie reagował na ludobójstwo w Timorze Wschodnim, w wyniku którego zginęła 1/3 ludności, jak też międzyplemienne rzezie w Ruandzie, z kwietnia-czerwca 1994 r., które pociągnęło za sobą śmierć co najmniej 200-500 tys. ludzi, nie licząc 2 mln. uchodźców, z których znaczna część zmarła, zanim Francuzi nie położyli mu kresu.

Nikt też nigdy, nawet werbalnie, nie protestował przeciwko oficjalnemu stosowaniu w Izraelu tortur przy przesłuchiowaniu Palestyńczyków, choć tortury są zakazane wieloma konwencjami międzynarodowymi o obronie "praw człowieka", łącznie ze specjalną w tej sprawie z 1984 r. A jak podał Washington Post z 7 września 1999 r., w wyniku tych tortur zmarło co najmniej 20 Palestyńczyków, podczas gdy nieznaną ich ilość uległa kalectwu (izraelski Sąd Najwyższy zakazał tortur dopiero 6 września 1999 r., ale jego decyzja może być jeszcze podważona przez parlament).

NATO natomiast "wypożyczyło" sobie, używając potocznego określenia, "nową Jugosławię", a zwłaszcza Serbów, rzecz o tyle paradoksalna, że całymi latami miało ono ewentualnie bronić titowskiej Jugosławii, łamiącej masowo "prawa człowieka" w początkowych latach swojego istnienia, przed sowiecką agresją.

Serbowie przysłowiowymi aniołami nie są, ale kto w b. Jugosławii był aniołem? Tradycje krwawych porachunków były tam długie i rozwiązanie ich nie było i nadal nie jest proste. Tito, pół-Chorwat i pół-Słoweniec, niechętny Serbom, tak podzielił Jugosławię na 6 republik i 2 autonomiczne prowincje, że w 40 procentach znaleźli się oni poza Serbią. Tolerowali to jednak ze względu na rodzącą się perspektywę zintegrowania się grup etnicznych i wyznaniowych w "jugosłowiańskim", ale rozpad Jugosławii w 1991 r. stanął temu na przeszkodzie. Tworzące się na bazie b. republik nowe państwa, jak Chorwacja nie uznająca w swoich granicach mniejszości serbskiej, czy Bośnia, która chciała zamienić się w "islamską republikę", choć muzułmanie stanowili tam 44 procent ludności, spowodowały zbrojne wystąpienia Serbów na tych terenach, chcących połączyć się z Serbią. W rezultacie tego doszło do wojny, faktycznie domowej, ale w świecie uznano ją za międzynarodową, a w dalszej konsekwencji do wzajemnych zbrodni. Ponieważ Serbowie, największa grupa etniczna, 40 procent ludności w b. Jugosławii, mając za sobą również NJA, jej armię, z korpusem oficerskim głównie serbskim, od początku w tych walkach zaczęli być górą, chcąc niewątpliwie stworzyć "wielką Serbię", podobnie zresztą jak wszystkie inne mniejszości, chcące

stworzyć swoje własne "wielkie państwa", z Albańczykami ciężącym w stronę "wielkiej Albanii".

W wyniku wojny, do której początkowo włączyły się, jako rozjemcy, "niebieskie hełmy", wojska ONZ, a od 1994 r. stopniowo także NATO, doszło do pożałowania godnych wypadków ludobójstwa, po *wszystkich* stronach.

Po położeniu kresu walkom serbsko-chorwackim i serbsko-bośniackim, częściowo chorwacko-bośniackim, a nawet muzułmańsko-muzułmańskim w końcu 1995 r., dzięki interwencji NATO, choć jeszcze *nie wiadomo* na ile osiągnięte w Dayton rozwiązanie jest trwałe, zaczął na sile nabierać nowy konflikt, albańsko-serbski w Kosovo.

Tło tego konfliktu jest *wyjątkowo* złożone, znacznie **odmienne** od tego znanego ze środków masowego przekazu, również w Polsce, co komplikuje jego obiektywną ocenę.

Serbowie, całkiem słusznie, uważają Kosovo za kolebkę swojego "historycznego narodu", państwowości i wyznania chrześcijańskiego w obrządku wschodnim. Jeśli na przestrzeni wieków stali się w nim mniejszością, to tylko dzięki wielowiekowemu jarzmu tureckiemu, systematycznie zasiedlanej serbskiej ziemi muzułmańskimi Albańczykami, gorliwie wysługującymi się swoim współwyznawcom. Serbowie, po odzyskaniu Kosovo w 1912 r., nie byli jeszcze w mniejszości, ale w czasie II wojny światowej, dostając się pod okupację Włoch i Niemiec, popierających sprzymierzoną w nimi "wielką Albanie", zostali znów zdziesiątkowani przez faszystowsko-nazistowskich Albańczyków, służących w oddziałach "czarnych koszul" i SS (dziś mało kto pamięta, że marionetkowa Albania 17 grudnia 1941 r. wypowiedziała wojnę USA, podczas gdy Serbowie byli zawsze wiernymi sojusznikami najpierw Enrenty w I wojnie światowej, a następnie Narodów Zjednoczonych w II wojnie światowej). Po wojnie, po kolejnym odzyskaniu Kosovo, antyserbski Tito popierał Albańczyków, tym razem fanatycznych komunistów, przeciwko "nacjonalistom" serbskim. Poparcie Tito zaszło tak daleko, że nadając w 1974 r. Kosovo prawa republiki autonomicznej, z jej władzami głównie albańskimi, uczynił z tej prowincji obszar niemal niepodległy. Albańczycy, korzystający ze swoich nowych uprawnień, energicznie zabrali się do rugowania Serbów z Kosovo, legalnymi i nielegalnymi środkami (w tym ostatnim przypadku indywidualnymi mordami, porywaniami, paleniem zagród i zbiorów oraz zabijaniem inwentarza żywego). Serbowie, przy Belgradzie głuchym na ich skargi, zaczęli opuszczać Kosovo, co tylko zachęciło kosowarskich Albańczyków do jeszcze energiczniejszych działań "czyszczeniowych", aż do 1989 r., kiedy to nowy szef serbskiego ZKJ, Związku Komu-

nistów Jugosławii, odebrał prowincji prawa republiki autonomicznej, rozpoczynając jej "serbizację". Albańczycy odpowiedzieli na to biernym oporem, po tym jak czynny opór spotkał się ze zdecydowaną reakcją Belgradu.

Przy odrobinie jednak dobrej woli z obu stron, setkami lat trwający i w swojej naturze *wysoce* złożony konflikt, miał prawdopodobnie szanse na **pokojowe** rozwiązanie, ale skończyło się na wojennym. Albańczycy, o silnych klanowych powiązaniach, wrodzy asymilacji, stroniący od ogólnojugosłowiańskich ruchów politycznych, poza komunistycznym w czasach Tito, mający 4-krotnie wyższy przyrost naturalny do Serbów, a w ostatnich latach znaczny "zastrzyk walutowy" od swojej diaspory na Zachodzie, aktywnie działającej w świecie przestępczym, a wreszcie zachęceni do zbrojnych wystąpień, w tym również przez serbskie służby specjalne, od wiosny 1998 r. nasilili działalność terrorystyczną, korzystając z zaopatrzeniowej bazy w Albanii. Rozgorzałe walki zaczęły przykuwać uwagę NATO, w "antyserbskim i proalbańskim kontekście", od czego był już tylko krok do wojennej awantury.

Przyczyną bezpośrednią wojskowej interwencji NATO przeciwko Jugosławii miała być masakra 45 Albańczyków w Racaku, zamordowanych jakoby przez Serbów 25 stycznia 1999 r. Serbowie oskarżeniu zaprzeczyli, ekspertyzy międzynarodowe winy ich nie udowodniły, a reporterzy francuskiej telewizji, obecni w tym czasie w Racaku, wersję serbską potwierdzili. Może nawet i po tym wydarzeniu były jeszcze szanse na pokojowe rozwiązanie konfliktu, ale wspomniane w innym miejscu komplikacje z porozumieniem w Rambouillet, ostatecznie je pogrzebały, doprowadzając do ataku NATO na Jugosławię. Jak już dziś wiadomo, ataku przygotowywanego już od **czerwca 1998 r.** o czym, najprawdopodobniej, mogli wiedzieć niektórzy "nieumiarowani" przywódcy kosowarskich Albańczyków (chodzi o UCK, albańską Armią Wyzolenia Kosovo, KLA w angielskim skrócie, z którą niektóre kraje NATO w połowie 1998 r. zaczęły nawiązywać ożywione kontakty, choć w jednocześnie w USA była ona uważana za *terrorystyczną* organizację. Co się zaś tyczy "umiarkowanych" Albańczyków, to byli nimi zwolennicy Ibrahima Rugovy, nieoficjalnie wybranego prezydenta Kosovo).

Na ile więc wojna NATO-Jugosławia była wojną o "prawa człowieka", a na ile w grę weszły jakieś *inne* względy - jest sprawą nadal niejasną.

Wielu Serbów wierzy na przykład, w czym utwierdzają ich również piśma obce, jak greckie "Athens Exousia" z 8 czerwca 1999 r., że "Bilderberg Club", półtajna międzynarodowa organizacja masońsko-sjonistyczna (w dniach 2-3 czerwca 1999 r. odbyła 47 spotkanie w Sintra w Portugalii), jeszcze w 1994 r. podjęła uchwałę o *rozcłonkowaniu* Serbii, z oderwaniem od niej Kosovo.

Wszczynanie więc wojny o "prawa człowieka", czego **pierwszym** przykładem była wojna NATO-Jugosławia, w tak wysoce skomplikowanej sytuacji jak w Kosovo, to problem nie tylko wysoce złożony, ale wymagający wiele cierpliwości, znajomości lokalnych warunków, a nade wszystko dobrej woli, której **nigdzie** nie było w nadmiarze.

Wyzwaniem, nie tylko dla NATO, ale dla **całej** ludzkości, jest też inny i o bardziej podstawowym znaczeniu problem.

Zadośćuczynienie bowiem **wszystkim** aspiracjom niepodległościowym, w myśl tzw. prawa do samookreślenia narodów, pod którym rozumie się niekiedy także prawa narodowości i innych grup mniejszościowych, nawet jeśli lokalnie stanowią one większość, jak Albańczycy w Kosovo, wymaga *głębokiej* rozważki. Wysuwający te żądania są bowiem *częścią* większej całości, państw, w których są *mniejszością* z reguły. Czy taka mniejszość ma prawo rozbijania organizmu państwowego, istniejącego z woli **większości** jego obywateli?

Jeśli tak, to według niektórych szacunków Nigeria może rozpaść się na ok. 150 państw, Indie 700, Indonezja nawet na więcej, Rosja na ponad 100, a nie wykluczone, że również USA, gdzie różne mniejszości mogą zdobyć lokalnie większość, pójdą kiedyś także w te ślady.

Czy NATO, w dobie prądów integracyjnych w niektórych regionach świata, ma popierać różne, nie zawsze usprawiedliwione, ruchy na rzecz *dezintegracji* istniejących państw? Czy ktoś wyobraża sobie jakiś ONZ złożony z 5 tysięcy członków? Czy jakieś choćby śladowe prawo międzynarodowe będzie wtedy istnieć? Ponadto, w niektórych przypadkach, jak 25-milionowych Kurdów, największego dziś narodu bez niepodległości i często kulturalnej autonomii, ich niepodległościowe aspiracje zderzają się z opozycją Turcji, Iranu, Iraku, Syrii oraz Azerbejdżanu.

Czy opozycję taką trzeba w tej sytuacji łamać siłą? I kto ma to zrobić?

Wojna NATO-Jugosławia ma zatem *wiele* wyzwań, może **największych** w III tysiącleciu, wyzwań na tle rasowym, etnicznymi wyznaniowo-kulturalnych, na które *nie* bomby i rakiety są rozwiązaniem.

C. Kto ma bić?

"Nowe NATO", gdyż tak należałoby je nazywać po przyjęciu nowej "Koncepcji strategicznej" i wojnie z Jugosławią, stało więc w obliczu narzuconych sobie zobowiązań, które mogą okazać się **niewykonalne** w praktyce.

Bez względu bowiem na cele podejmowanych działań wojennych, wy-

magają one ludzkich ofiar, dużej ilości środków materialnych (tylko Bośnia kosztuje NATO do dnia dzisiejszego ok. 30 mld. dol., a na tych wydatkach nie koniec, podczas gdy koszty "Operacji Kosovo" jeszcze nie są znane), a wreszcie zabezpieczenia owoców ewentualnego zwycięstwa.

NATO zaś, sojusz wielostronny, bez USA **nic** nie znaczy, jak to wykazały doświadczenia wojny z Jugosławią. USA miały aż 80-85 procent udziału w atakach powietrznych i 100 procent w raketowych oraz innych wspierających operacjach.

Od końca II wojny światowej USA, niemal bez przerwy walczące i w inny sposób biorące udział w różnych akcjach, angażujących personel wojskowy, aktualnie przebywający w ponad 100 krajach, to uczestnik **niepewny** w przyszłych działaniach wojennych NATO. Chyba, że ich interes narodowy będzie oczywisty. Dziś, co prawda, po tym jak prezydent Nixon zamienił służbę wojskową z przymusowej na ochotniczą, zawodową, dysponowanie armią na każde zawołanie jest teoretycznie łatwiejsze, ale w praktyce tak nie jest.

USA, kraj zamożny, demokratyczny i mimo zalewu gwałtu w telewizji i życiu codziennym **niewojowniczy** z natury, nawet z zawodową armią, do wojen chęci nie ma. Każda strata żołnierskiego życia wywołuje w opinii publicznej odruch *niechęci* do angażowania się kraju w niebezpieczne misje zamorskie. Podatnicy z kolei, finansujący takie misje, też nie wykazują rozrzutności. Jest to zresztą zjawisko normalne i godne pochwały w społeczeństwie, które w martyrologii nie poszukuje swojego szczęścia.

Nie bez znaczenia był też zapadły w zbiorowej pamięci społeczeństwa "syndrom wietnamski", wywierający wpływ na jego postawę. Smak poniesionej klęski, nieoczekiwanej i niezrozumiałej do dziś, pozostaje **nadal** groźnym memento na przyszłość. Nigdy bowiem *nie wiadomo* czy nie popełni się podobnego błędu w sytuacji angażowania się w konflikty, których cele są niezbyt jasne, a końca ich nie sposób przewidzieć.

Jako przykład *niemożności* przewidywania przyszłości, rodowód "syndromu wietnamskiego" godny jest przypomnienia.

Prezydent Kennedy, obejmując swój urząd po prezydencie Eisenhowerze, nie zastosował się do jego rady i nie posłał wojsk do Laosu, które położyłyby kres wzmagającemu się przepływowi przez jego terytorium ludzi i sprzętu bojowego z Wietnamu Północnego dla "rozkrecających się" walk w Wietnamie Południowym. W USA wierzono wtedy w "teorię domino", sprwadającą się do przekonania, że po wzięciu Wietnamu Południowego przez komunistów również inne kraje Południowo-Wschodniej Azji dostaną się pod ich panowanie. Chcąc bronić Wietnamu Południowego, uwaga USA zwróci-

ła się na Laos, "korytarz" Wietnamu Północnego na południe. Kennedy za radą Eisenhowera nie poszedł, stawiając w zamian na neutralny Laos, co natychmiast zaktywizowało jego siły komunistyczne, Pathet Lao, które wraz z Vietcongiem, południowo-wietnamskimi siłami komunistycznymi, "zabrały się" do sprowadzenia go z drogi neutralności. W tym czasie, należy zaznaczyć, w styczniu 1961 r., Chruszczow, nadal oficjalnie popierając "pokojowe współistnienie", ogłosił pomoc ZSRR dla "ruchów narodowo-wyzwoleńczych". Skutkiem tego było otwarcie "mostu powietrznego" Moskwa-Hanoi, którym do Wietnamu Północnego zaczęła płynąć sowiecka pomoc wojskowa, niezależnie od drogi morskiej i kolejowej przez Chiny, co natychmiast odbiło się na zaktywizowaniu walk w Południowym Wietnamie. USA, które początkowo nie zorientowały się w sytuacji, uważały za wystarczające zbrojenie plemion Meo w Laosie oraz posłanie wojskowych doradców i "zielonych beretów" do Wietnamu Południowego, kraju ludnościowo równego Północnemu, a terytorialnie nieco większego. Najpierw było ich łącznie 500, ale dość szybko ilość ich wzrosła do 17 tys. i ciągle było ich za mało, wobec czego padła propozycja, żeby wysłać tam 300-tysięczny kontyngent sił zbrojnych, co Kennedy uznał za "fantazję" (po jego śmierci, w szczytowym momencie, w 1969 r., wojsk amerykańskich w Wietnamie było 625 tys., 75 tys. z innych krajów oraz ok. 700 tys. wojsk południowo-wietnamskich, co okazało się ilością niedostateczną).

USA, mimo "obłożenia" Indochin 15-oma milionami ton bomb i pocisków artyleryjskich, ilością 7-krotnie większą niż uczynili to alianci zachodni w Niemczech w czasie II wojny światowej, tracąc w dodatku ponad 60 tysięcy zabitych, zmarłych oraz zaginionych, 3,7 tys. samolotów i 4,9 tys. helikopterów - wojnę, najdłuższą w historii USA, faktycznie 12-letnią, przegrały. Nie zadeklarowana i nie ciesząca się poparciem społecznym - wojna była gorzką nauką na przyszłość.

Po tej przegranej wojnie, nic dziwnego, USA były *ostrożne* z następnymi. Nieudana akcja odbicia zakładników amerykańskich w Iranie 25 kwietnia 1980 r., gdzie 8 żołnierzy poniosło śmierć i 5 odniosło rany, była kolejnym ostudzaniem zapałów do zbrojnych interwencji w świecie. Dopiero pomyslna interwencja zbrojna 25 października 1983 r. w Grenadzie, 90-tysięcznym kraiku-wyspie, poprawiła nieco nastroje, ale ponieważ działo się to w 2 dni po wspomnianej w innym miejscu masakrze amerykańskich piechurów morskich w Bejrucie, więc poprawa była niewielka.

Lepiej już poszło w 2,6-milionowej Panamie 20 grudnia 1989 r., gdzie przy stracie tylko 24 zabitych, 25-tysięczny amerykański korpus interwencyjny zabił ok. 400 przeciwników (oraz kilkuset cywilów, lub parę tysięcy

według niektórych źródeł).

Do wyleczenia się z "syndromu wietnamskiego" wszystko to jednak nie wystarczało i trzeba było czekać do następnej okazji.

USA zresztą, czołowy kraj w NATO, uwagę swoją musiały koncentrować na rosnącej potęgze ZSRR, a nie szukaniu okazji do pozbycia się "syndromu".

Z pozostałymi zaś krajami NATO, które nie walczyły już od dziesięcioleci, było jeszcze gorzej. Francja nie walczyła od 1962 r., od przegranej wojny w Algierii, a Anglia (razem z Francją i Izraelem) od wojny z Egiptem w październiku 1956 r., choć przerwę stanowił niewielki konflikt angielsko-argentyński z kwietnia-czerwca 1982 r. Włochy nie walczyły w ogóle po II wojnie światowej, podobnie jak RFN, której nawiązywała konstytucja, do 13 grudnia 1996 r., zakazywała posyłania Bundeswehry poza granice kraju. Reszta zaś członków NATO nie liczyła się.

Okazji do większej wojaczki, dla USA szczególnie, jak też dla niektórych innych krajów NATO, choć jako organizacja nie brało ono udziału w wojnie, dostarczyła dopiero agresja Iraku przeciwko Kuwejtowi 2 sierpnia 1990 r.

Agresja, choć tło jej jest wysoce złożone, została powszechnie potępiona, przede wszystkim w świecie arabskim, nie mówiąc już o tym, że Zachód z Japonią miał w regionie Zatoki Perskiej "żywotne interesy", importując stamtąd głównie deficytowe paliwa płynne. Nie było więc wątpliwości, że iracka agresja nie pozostanie bez odpowiedzi i tak też stało się - jednomyślną decyzją Rady Bezpieczeństwa ONZ miała być odparta.

USA trafiła się więc okazja pozbycia się nareszcie "syndromu wietnamskiego".

Zadanie było o tyle ułatwione, że Irak był faktycznie izolowany, opuszczony nawet przez kraje arabskie, a nade wszystko ZSRR. Ryzyka więc większego nie było i w majestacie 12 rezolucji ONZ, pod patronatem Rady Bezpieczeństwa, ale pod *wojskowym* przewodem USA, powstała 35-państwowa Koalicja, z niektórymi jej członkami tylko z symbolicznym udziałem, której zadaniem było wyzwolenie Kuwejtu.

USA, pomne złych doświadczeń z wietnamskiej przeszłości, tym razem postanowiły wojnę rozegrać inaczej, w myśl "Doktryny Powella", gen. Collina Powella, szefa Sztabów Połączonych, weterana wojny indochińskiej. Zamiast stopniowego wciągania się w wojnę i jej wydłużania, w Zatoce Perskiej przygotowano ją starannie w ciągu prawie 5-ciu miesięcy oraz sprawnie przeprowadzono.

Prawie 800-tysięczna koalicja, pod przewodem USA, z ich 540-tysięcz-

nym kontyngentem, z ponad 2-oma tysiącami samolotów, po zrzućeniu 88 tys. ton bomb oraz stratach własnych 240 zabitych, w tym tylko 142 Amerykanów (liczono na co najmniej 10 tys.), 36 samolotów (25 amerykańskich), po 40-tu dniach ataków powietrzno-rakietowych oraz 100-godzinnej ofensywie lądowej, odniosła błyskotliwe zwycięstwo. Zabito ok. 20-35 tys. irackiego personelu wojskowego (Irak podaje, że także 23 tys. cywilów), raniono ok. 60 tysięcy, a ok. 175 tysięcy wzięto do niewoli.

Zwycięstwo w Zatoce Perskiej wyleczyło USA z "syndromu wietnamskiego", ale entuzjazmu dla wojny w społeczeństwie *nie było* i to mimo popierającej ją mniejszości żydowskiej, zwłaszcza po atakach rakietowych Iraku na Izrael.

Rezolucja Senatu, upoważniająca prezydenta Busha do działań zbrojnych (o którą się zwrócił), ledwie przeszła większością głosów.

"Aktywizm" więc, który wydawało się miał już absolutną górę nad izolacjonizmem, okazał się być *ślabszym* niż przypuszczano.

Dopiero *po* zwycięstwie zapanował entuzjazm, krótkotrwały, jak się wkrótce okazało, gdyż główny zwycięzca w wojnie, prezydent Bush przegrał wybory z konkurentem, który w młodości nie tylko uchylał się od służby wojskowej, ale jeszcze uczestniczył w protestach przeciwko wojnie w Wietnamie.

Na spadek entuzjazmu wpłynęła też rosnąca krytyka *nie zdyskontowania* zwycięstwa - nie zajęcia Iraku i obalenia Saddama Husajna. Krytyka wzrosła po tym jak iraccy Kurdowie w maju 1992 r., zachęceni przez USA, podjęli akcję na rzecz niepodległości i zostali pokonani przez saddamowskie wojska. Innym powodem krytyki było zorientowanie się, że Irak, wbrew warunkom rozejmu, pracował nad bronią masowej zagłady.

"Syndrom wietnamski" przeszedł więc do historii, ale niechęć społeczeństwa do angażowania się w wojny **nadal** była silna.

Nie przeszkodziło to jednak USA w złożeniu propozycji ONZ, w grudniu 1992 r., podjęcia się akcji humanitarnej w Somalii, wspartej siłą zbrojną ze względu na panujący tam chaos, wywołany katastrofalną suszą oraz klanowymi walkami.

Kolejna okazja wyzbywania się "syndromu" okazała się tym razem tragiczna w skutkach. Po przekazaniu swojej misji ONZ w maju 1993 r., USA w Somalii pozostały, podejmując różne akcje samodzielnie. Chcąc aresztować przywódcę jednej z frakcji w Mogadiszu, doszło na jego ulicach 3 października 1993 r. do większej potyczki, w wyniku której śmierć poniosło 18 Amerykanów. Widok włączonych i maltretowanych ciał poległych po ulicach, oglądany w telewizji, był szokiem dla społeczeństwa, w wyniku czego po 14

miesiącach "Operacji Nadzieja" i łącznych stratach 43 ludzi, w tym 29 w walkach, USA *wycofały się* z Somalii 25 marca 1994 r.

Chęć do następnych misji w świecie znów osłabła w USA, aczkolwiek bezkrwawa interwencja na Haiti w październiku 1994 r., nieco nastroje poprawiła. Kto wie jednak co by było dalej, gdyby nie wydarzenia w Bośni, a następnie w Kosovo, które stworzyły nową okazję nie tylko do ostatecznego pozbycia się "syndromu wietnamskiego", ale także nowego - "somalijskiego".

Wojna z Irakiem bowiem, już niezależnie od jej ostatecznego finału, który z politycznego punktu widzenia jest *porażką* USA i koalicjantów, gdyż Saddam Husajn trwa u władzy, sympatia w świecie arabskim dla niego rośnie, a z Koalicji pozostały już tylko 2 kraje, USA i Anglia, z *wojskowej* strony dowiodła jednak, że z krajem małym, bez sojuszków wojskowych z mocarstwami, nie posiadającym broni masowej zagłady, zwłaszcza nuklearnej, jak też nie posiadającym najnowszej broni konwencjonalnej - wojnę można **skutecznie** prowadzić z oddali i z wysoka i bez znaczących strat własnych. Samoloty, uzbrojone w "inteligentne" bomby i pociski powietrze-ziemia, mogły dokonać bardzo wiele. W Wietnamie, ze względu na silną obronę przeciwlotniczą (dzięki dostarczonym przez ZSRR rakietom), straty "superfortec" B-52 dochodziły czasem do 14-15 dziennie, ale w Iraku nie zestrzelono ani jednej ze względu na brak najnowszych rakiet. Mało było również zestrzeleń samolotów myśliwsko-bombardujących, a nowa broń, rakiety skrzydlate, Cruise, była rewelacją, niezwykle skuteczną w walce. Dlatego też ewentualną nową wojnę zaczęto przygotowywać od strony lotniczo-rakietowej.

W Bośni, w latach 1994-1995, gdzie okresowo lotnictwo NATO, amerykańskie głównie, jak też rakiety skrzydlate amerykańskiej marynarki wojennej, atakowały pomyślnie pozycje bośniackich Serbów praktycznie bez strat własnych - powyższe obserwacje w *pełni* potwierdziły się. Jugosławia, co prawda, była lepiej uzbrojona od bośniackich Serbów, ale najnowszych rosyjskich rakiet przeciwlotniczych nie miała i *można* było ryzykować z nią wojnę powietrzno-rakietową. Ewentualnie minimalne w niej straty (a nie było ich w ogóle) mogły być "strawne" dla społeczeństwa.

I tak też stało się. Brak strat własnych, jak też widok Albańczyków masowo opuszczających Kosovo, przypisywany niezmiennie "etniczemu czyszczeniu", choć dziś już wiadomo, że różnie z tym było, spowodował w USA *umiarkowane poparcie* dla wojny. Bliższe badania nastrojów ujawniały jednak, że gdyby straty amerykańskie wyniosły choćby tylko 200 zabitych, to poparcia mogłoby nie być, a przy 1000 spowodowałyby żądania wycofania się z wojny. Ponieważ jednak lotnicy nie schodzili poniżej ok. 5 tys. metrów, więc mniejsze rakiety, skuteczne do 3 tys. metrów, były niegroźne, a tych

większych nie było albo były zbyt przestarzałe. Stąd też Kongres USA, w swojej większości niechętny wojnie, ale skoro już zaczęła się - więc tradycyjnie dał na nią pieniądze.

Wojna, mimo ogólnego poparcia przez opinię publiczną w krajach NATO, poza Grecją, gdzie była wysoce niepopularna oraz kontrowersyjna we Włoszech i Republice Czeskiej, wykazała jednocześnie, że chętnych do wojaczki **nie było** wielu, a przy stratach mogłoby ich nie być w ogóle.

Co najważniejsze, to niezwykle żenujący fakt, że **nikt** w NATO nie przewidział, iż wojna będzie trwała tak długo! Jak to mówił potem prezydent Clinton, liczone się tylko z 2-3 dniami bombardowań, po których spodziewano się kapitulacji Miloszevicza. Przewidziano więc 2,5-3,7 procent prawdy, a więc **niedopuszczalna** pomyłka!

I jeśli podobne pomyłki NATO czynić będzie w przyszłości, z przeciwnikiem nie 80-krotnie mniejszym ludnościowo i 800-krotnie gospodarczo, ale z przeciwnikiem sobie *równym* pod względem wojskowym, to ludzkość **nie ma** szans na przetrwanie.

Wojna NATO-Jugosławia, której kulisy są jeszcze *nieznane* w pełni, była nie tylko wojną do uniknięcia, ale **przegraną** z wielu względów, choć formalnie wygraną. Przy stracie tylko 2-ch samolotów i po zrzuceniu i wystrzeleniu 23 tys. bomb, rakiet i pocisków powietrze-ziemia, o wadze jedynie 10 tys. ton, zwycięstwo przyszło na pozór tanio. Najważniejsze, że w krajach NATO odsunięto perspektywę brania sobie na głowę setek tysięcy uciekinierów albańskich, których wszyscy już mają dość ze względu na ich różne "czarne interesy". Niech więc lepiej siedzą w Kosowo, nawet jeśli Serbowie stamtąd uciekną. Jest ich mniej, a ponadto uciekną do Serbii i Czarnogóry, a nie na Zachód.

Przegrana NATO, mimo jego zwycięstwa, jest niemniej jednak oczywista.

Pomijając już wspomnianą pomyłkę co do długości wojny, pomyłkę *dyskwalifikującą* polityków i strategów wojskowych NATO, przegrana ma znacznie więcej aspektów, które **zagrożają** jego istnieniu.

Solidna jedność NATO na zewnątrz, na wewnątrz przedstawiała **inny** obraz i wraz z przeciąganiem się konfliktu było z nią coraz gorzej.

Demokratyczność NATO, gdzie jakoby decyzje mają być podejmowane przy udziale wszystkich jego członków i jednogłośnie, w praktyce **nie dawała** egzaminu. Z 19-tych krajów wyłoniła się "Wielka Piątka", USA, Francja, Anglia, Niemcy i Włochy, a z niej na dodatek "Wielka Trójka", USA, Francja i Anglia. Francja, będąc od marca 1966 r. poza tzw. strukturą wojskową NATO, głos w wojnie miała po USA największy, gdyż do akcji wprowadziła w ostat-

niej jej fazie 100 samolotów, wobec ok. 700 amerykańskich, ponad 2-krotnie więcej niż Anglia. Francja jednak była daleka od USA w doborze celów do niszczenia, co powodowało głębokie *rozdźwięki* w natowskim planowaniu operacji powietrznych. Rozdźwięki te następnie przenosiły się do dowództwa sił powietrznych NATO, faktycznie amerykańskiego, które, ograniczone w działaniach, chcąc bombardować "perełki" (dosłownie "jewels"), czyli obiekty cywilne, było otwarcie sfrustrowane, wykazując nawet oznaki nie-subordynacji.

Największą jednak kością niezgody była sprawa ewentualnego wprowadzenia do działań bojowych wojsk lądowych.

Prezydent Clinton, w swoim orędziu do narodu, wprowadzenie takie wykluczył, ale wraz z przeciąganiem się wojny, pod wpływem swojego doradcy Samuela Bergera oraz głównodowodzącego NATO gen. Wesleya Clarka, zaczął zmieniać zdanie. Pomysłowi oponował jednak Pentagon i szefostwo Sztabów Połączonych, w łonie zaś NATO zdecydowanie Niemcy oraz w znacznym stopniu Francja i Włochy, tak jak podobno Węgry, jedyny kraj członkowski o wspólnej granicy z Jugosławią. Na tym tle, według doniesień prasowych, doszło do szczególnych kontrowersji niemiecko-angielskich (Anglicy byli największym zwolennikiem w NATO operacji lądowych, chcąc dać połowę wojsk do tego celu, 50 tys., co jednak uważano za ilość niedostateczną, jeśli atak miałby wyjść z Albanii).

Wprowadzenie do akcji wojsk lądowych, co miały poprzedzić ataki 24 amerykańskich helikopterów "Apache", było o tyle problematyczne, że musiałyby nastąpić niemal natychmiast, zanim nadejdzie wczesna w Kosowo jesień i zima. Ponieważ akcji lądowej nie planowano, a należało zgromadzić ok. 200 tys. wojsk, więc cała sprawa była teoretyczna, nie mówiąc już o tym, że USA nie miało najmniejszych chęci do użycia "Apachów" ze względu na ich nie przystosowanie do walk w terenie górskim i obawy ich dużych strat.

Jeszcze gorzej było z propozycją USA na forum NATO nałożenia siłą embargo na dostawy paliw płynnych do Jugosławii drogą morską. Sprzeciwiała się temu kategorycznie Francja, wobec czego pomysł upadł (amerykańskie firmy naftowe paliwa te dostarczały Jugosławii bez przerwy).

Kontrowersje w łonie NATO doszły już do szczytu, kiedy po zawieszeniu bombardowań Jugosławii 10 czerwca 1999 r. do Kosowo, od strony Macedonii, miały wkroczyć jego wojska, zwane KFOR, pod dowództwem Anglika, gen. Michaela Jacksona, już w dni później, zajmując w Prisztinie, stolicy prowincji, lotnisko i ustanawiając tam swoją kwaterę.

Tymczasem, ok. 200-osobowy oddział rosyjski, odbywający wspólnie z oddziałami NATO służbę w bośniackim mieście Brčko, pojazdami opance-

rzonymi niespodziewanie zajął lotnisko w Prisztinie **przed** przybyciem tam KFOR. Oddział poprowadził gen. Wiktor Zawarzin, przedstawiciel Rosji przy ... Kwaterze Głównej NATO! A NATO, mając chwilowo zawieszony stosunek z Rosją, kiedy wreszcie dowiedziało się o tej akcji, kolumna pojazdów zbliżała się już do Prisztiny. Wówczas głównodowodzący NATO gen. Clark wydał rozkaz gen. Jacksonowi zdobycia lotniska w Prisztinie przez jednostkę piechoty wysłaną helikopterami. Gen. Jackson **odmówił** wykonania rozkazu, uzasadniając to chęcią *uniknięcia* III wojny światowej. Angielski szef Sztabu Generalnego go poparł, uzyskując także poparcie amerykańskiego szefa Sztabów Połączonych.

Tak doszło do faktycznego **rozłamu** w NATO w *najważniejszej* jego części - operacjach bojowych.

Wojna NATO-Jugosławia dobiegła wreszcie końca. Nikt nigdzie nie świętował jej zakończenia, a jej główny bohater, gen. Clark, został przedterminowo **odwołany** ze swojego stanowiska (w kwietniu 2000 r., zamiast co najmniej rok później). Wokół wojny zapanowała dziwna cisza, jeśli nie liczyć coraz głośniejszej krytyki, że była ona kompletnym **fiaskiem** w walkach z wojskami jugosłowiańskimi, niszcząc i uszkadzając jedynie 13 czołgów na ok. 300 w Kosowo. Podnosi się natomiast problem walki NATO z ludnością cywilną, której miało nie być, jak też gaffy w postaci zbombardowania 7 maja 1999 r. ambasady chińskiej w Belgradzie, co może mieć długookresowe, wysoce negatywne konsekwencje.

Najbardziej kłopotliwej natury jest zarzut **zaproszenia** Rosji do "wygaszenia" konfliktu. Rosja, która od początku była wroga akcji NATO, konflikt w końcu wygasiała, ale jeszcze **nie wiadomo** za jaką cenę. Nie chodzi tylko o "wyrwanie" Kosowo spod jurysdykcji NATO i przekazanie jej Radzie Bezpieczeństwa ONZ, ale **przede wszystkim** o decyzję parlamentu Jugosławii z 12 kwietnia 1999 r. o przystąpieniu do ZBiR, Związku Białorusi i Rosji.

Twór ten, rodzący się od 1997 r., według wszelkiego prawdopodobieństwa ma oficjalnie rozpocząć swój żywot na przełomie lat 1999/2000 (nieoficjalnie istnieje on od lat). Jugosławia odbyła w tej sprawie rozmowy w Moskwie i Mińsku jeszcze w listopadzie 1998 r. i zapewne była *zachęcona* przez nie do takiego kroku.

Kiedy i jak akcesja Jugosławii do ZBiR będzie sfinalizowana - nie wiadomo. Ale jeśli zostanie, to wojska KFOR, czyli NATO, będą musiały **opuścić** Kosowo, a przebywający tam 3,6-tysięczny kontyngent rosyjski zajmie ich miejsce, pospołu z JNA, wojskami jugosłowiańskimi.

Nie potrzeba dodawać, jak bardzo zmieniłaby się wtedy sytuacja strategiczna w Europie i w świecie.

Efektom wojny NATO-Jugosławia jest jeszcze jeden jej "odprysk", możliwe nawet, iż o **decydującym** znaczeniu dla przyszłości Sojuszu.

Zanim jeszcze NATO zawiesiło bombardowania Jugosławii, Rada Unii Europejskiej, odbyta na szczelbu głów państw i szefów rządów 15-tu krajów członkowskich w Kolonii w dniach 3-4 czerwca 1999 r., powróciła do chwilowo przerwanej wojną idei tzw. Europejskiej Tożsamości w sprawach Bezpieczeństwa i Obrony, w angielskim skrócie ESDI. Przyjęta przez szczyt Deklaracja, podkreśla niedwuznacznie **niezależność** Unii Europejskiej od NATO w przyszłości. Dla podkreślenia tego kroku, istniejąca od 17 marca 1948 r. Unia Zachodnioeuropejska, latami nie przejawiająca aktywności, choć ostatnio zamieniana w "zbrojne ramę" Unii Europejskiej, ma być zastąpiona przez nowoutworzoną instytucję, Komitet do Spraw Politycznych i Bezpieczeństwa oraz nowy urząd, Wysokiego Przedstawiciela dla Wspólnej Polityki Zagranicznej i Bezpieczeństwa. Przedstawicielem wyznaczono Xavier Solanę, dotychczasowego Sekretarza Generalnego NATO.

Co z tych propozycji wyjdzie w praktyce jeszcze nie wiadomo, ale zwykle dobrze poinformowany Henry Kissinger napisał alarmistyczny artykuł w Washington Post z 15 sierpnia 1999 r., którego tytuł, "Koniec znanego nam NATO?" (The End of NATO as We Know It?), mówi za siebie.

Kissinger, mówiąc najkrócej, jako efekt wojny natowsko-jugosłowiańskiej, przewiduje **trudności** w ramach Sojuszu, których może on nie przeżyć.

Nikt oczywiście nie może tego przewidzieć, ale faktem jest, że europejscy członkowie NATO, których wydatki na obronę równają się 60-ciu procentom amerykańskich, podczas gdy ich zdolność bojowa, tylko w broniach konwencjonalnych, jest **mniej** 10-krotnie, coś chcą zrobić, żeby mogli mówić "równym głosem" z sojusznikiem zza Oceanu. A czy zrobią, gdyż wstępnie mówi się o *potrojeniu* wydatków na obronę, co w Europie borykającej się z trudnościami gospodarczymi, wydaje się być wykluczone, to już inna sprawa. Z pierwszych jednak kroków tej nowej instytucji, do których zaliczają się także manewry wojskowe, wynika jasno, że NATO **nie będzie** w nich mieć żadnej roli.

Nowopowstała sytuacja spowodowała już ostrą reakcję oficjalnych czynników USA. Biorący udział w londyńskiej konferencji poświęconej przyszłości NATO, Podsekretarz Stanu Strobe Talbott **ostrzegł** 7 października 1999 r. pozostałych sojuszników przed jego rozbiciem. Jednocześnie jednak zaznaczył, że USA **nie będą** ponosić w NATO największych ciężarów, związanych z jego funkcjonowaniem i podejmowanymi operacjami, jak to było w czasie wojny z Jugosławią.

Między więc czasy, kiedy to USA, jak powiedział to prezydent Kennedy

20 stycznia 1961 r., że "nie ma ceny, nie ma ciężarów i wyrzeczeń, których Amerykanie nie byłiby gotowi ponieść w obronie przyjaciół i zwalczaniu wrogów".

Sprawa więc z "chętnymi do bicia" naruszających "prawa człowieka", jest w NATO problemem **dalekim** od rozwiązania. Wojna z Jugosławią, zamiast przybliżyć go do tego celu, prawdopodobnie go oddaliła.

Cóż to bowiem za walka o "prawa człowieka", kiedy pilotom nie zezwala się zejść poniżej 5 tys. metrów dla dokładnej obserwacji celu ataku, ze względu na obawy o ich życie, podczas kiedy nie chce się anagżować wojsk lądowych, bojąc się panicznie strat własnych?

W efekcie, bombarduje się ludność cywilną, gwałcąc "prawa człowieka" w imię obrony "praw człowieka"! Istne błędne koło! A potem Jugosławię skarży się, czego nawet nikt nie kwestionuje, że NATO zadało jej straty materialne rzędu 100 mld. dol., uchylając się jeszcze od jakiegokolwiek odpowiedzialności i odszkodowań. NATO twierdzi z kolei, że Jugosławii pomoże, jeśli zmieni Miloszevicza, rzecz o tyle trudna, że Jugosłowianie wcale nie winią go więcej za swoje kłopoty niż winią Sojusz, kolejne błędne koło.

Komplikacje NATO w szukaniu chętnych do bicia przestępców wojennych narastają jeszcze od innej strony.

Rosja, Jelcyn osobiście, ostrzegł Clintona 18 lutego 1999 r. przed próbą bombardowania Jugosławii. Clinton postąpił inaczej, a Rosja, w dniu ataku na Jugosławię, odbyła od czasów sowieckich *największe* manewry wojskowe pod kryptonimem "Zachód", z odpalaniem rakiet balistycznych, dając tym pośrednio do zrozumienia, że sytuacja międzynarodowa stała się wyjątkowo groźna. Kilkakrotnie ostrzegła też przed *możliwością* wybuchu III wojny światowej, słownictwo dotąd **nieznane** w "nowej" Rosji. Clinton niby to sobie zlekceważył, ale też coraz natarczywiej zaczął się domagać od Rosji wkroczenia w konflikt z propozycją jego *pokojowego* rozwiązania. Stało się to po tym, co gorsza, jak Rosja, z Niemcami głównie oraz z Francją, nasiliła rozmowy "na boku". Rosja w końcu wkroczyła, konflikt zażegnano, na razie przynajmniej, ale przy okazji zapewne **wbiła** klin pomiędzy główne kraje w NATO.

Inny klin, został wbity przez Rosję pomiędzy sojuszników postaniem im na członków b. kraje Układu Warszawskiego. Premier Węgier Victor Orban, jeśli wierzyć niektórym komentarzom, miał w rozmowie telefonicznej z prezydentem Clintonem kategorycznie **sprzeciwić się** wykorzystaniu terytorium jego kraju do ataku lądowego na Jugosławię, co całą ideę miało pogrzebać. Czym naprawdę, zajmując takie stanowisko, kierował się Orban - NATO długo będzie teraz szukać odpowiedzi.

I żeby tylko na tym był koniec przysłowiowego piwa, które NATO nawa-

rzyło sobie *nieprzemyslaną* wojną z Jugosławią.

Na koniec wreszcie, jeszcze inna *niewiadoma* odnośnie przyszłości NATO - stanowisko USA.

O *czołowej* roli tego kraju w NATO już wiadomo. O czym jednakże nie wiadomo, choć bierze się to za pewnik, to *stosunek* USA do tej organizacji i do świata zewnętrznego w ogóle. Zgodnie z tym co napisano w III rozdziale, w USA w polityce zagranicznej od II wojny światowej dominuje *aktywizm*, spychając *izolacjonizm* na dalszy plan.

Rzeczywistość, co częściowo było już podkreślone, była jednak zawsze o wiele bardziej skomplikowana, z przeplataniem się obu kierunków, nie mówiąc już o tym, że **żaden** z nich nie był nigdy jasno sprecyzowany. Niektórzy izolacjoniści bowiem, trzymając się hasła "Najpierw Ameryka!" nieraz dodawali "Tylko Ameryka!" ("Only America"), stawiając się tym samym w szeregu "aktywistów".

Wielu też czołowych przedstawicieli poszczególnych kierunków, przechodziło kompletną metamorfozę, jak prezydenci Woodrow Wilson i Franklin Roosevelt, którzy z zatwardziały izolacjonistów stali się nie mniej zatwardziały "aktywistami".

"Aktywizm" ponadto, nawet w szczytowych momentach "zimnej wojny", spotykał się z silnym kontratakiem izolacjonizmu, co przejawiało się w żądaniach niektórych senatorów wycofania wojsk amerykańskich z Europy Zachodniej. Nawet tacy "aktywiści", jak prezydent Eisenhower, uważał, że trzeba je wycofać po ... 10-letnim tam ich pobycie.

Jak wiadomo, pozostały dłużej, ale znów podnoszą się głosy, że należy je z Europy wycofać i w ogóle **zredukować** rolę USA w świecie.

Czołowym przedstawicielem tego kierunku jest wspomniany już w innym miejscu Patrick Buchanan, kandydat na prezydenta i autor o tyle kontrowersyjnej co niezwykle interesującej książki "Ameryka Republiką, a nie Imperium".

Książka, ze względu na jej ideologiczno-polityczny charakter, rozprawiająca się z "aktywistami", zwłaszcza z ich częścią, wspomnianą w innym miejscu mniejszością żydowską, jest szczególnie znamienita, gdyż może być zapowiedzią radykalnych **zmian** w polityce zagranicznej USA w bliższej lub dalszej przyszłości, z *nieobliczalymi* skutkami dla istnienia NATO.

Buchanan, już na wstępie książki, zaatakował 36-stronicowe tajne memorandum z 1992 r., autorstwa Paul Wolfowitza, wówczas podsekretarza stanu w Pentagonie, które przewidywało *kontratak* NATO na wypadek zaatakowania Litwy przez Rosję. Memorandum ukazało się niemal dokładnie w tym samym czasie, kiedy USA i Rosja stwierdziły, że *nie są* już przeciwnikami. Uważając memorandum za czyste awanturnictwo, nie mające **nic** wspólnego

z amerykańskim "interese narodowym", Buchanan nie poprzestaje na tym, cytując kolejny przykład awanturnictwa, z wiosny 1990 r., proponowany przez Bena Wattenberga, prezydenta American Enterprise Institute, wpływowego "trustu mózgow" w USA, wzywającego do "ogólnoświatowej krucjaty", nałożenia ludzkości siłą "Pax Americana", "globalnej hegemonii", gdyż w świecie **nikt** nie będzie w stanie oprzeć się *jedynemu* supermocarstwu. W ten sam ton uderzył jeden z czołowych komentatorów "Washington Post", Charles Krauthammer.

Na Buchanana posypały się w odpowiedzi, nie pierwszy raz zresztą, zarzuty o *antysemityzm*, a ponieważ wystąpił on w książce także przeciwko pomocy dla Izraela, która przekroczyła już ponad 100 mld. dol. (wliczając pomoc pozarządową suma jest ok. 3-krotnie większa), opowiedział się za państwem palestyńskim, zwrotem Golanu Syrii, umiędzynarodowieniem Jeruzolimy, przerwaniem ataków powietrznych na Irak, wycofaniem się z Bośni, Kosovo itp., więc tym większa jest burza.

Na ile zaś jest ona tylko przejściową niepogodą, a na ile zwiastunem *radykałnych* zmian w polityce zagranicznej USA w przyszłości - trudno powiedzieć. Lekceważenie sobie jednakże tego rodzaju poglądów jak Buchanana, byłoby *lekkomyślnie* w najwyższym stopniu.

A jeśli poglądy w rodzaju buchananowskich zwyciężą kiedyś, to USA **wycofają się** z NATO. Jest to tym bardziej prawdopodobne, że amerykańscy konserwatyści i prawica, podobnie jak w innych krajach NATO, niezbyt łaskawym okiem patrzą na obecnych jego politycznych przywódców i głoszone przez nich koncepcje, w których dopatrują się zadatków na "republikę światową", stary spisak "iluminatów" w nowym wydaniu, czego początkiem jest zwalczanie *suwerenności* państw. Co się zaś tyczy przywódców NATO, ongiś specjalizujących się w walce z nim i biorących udział w inspirowanych przez komunistów "pokojoych protestach", dziś zaś pozujących na "wojennych jastrzębi", to wywołują oni nie mniejsze podejrzenia co ich *prawdziwego* oblicza i intencji.

Innymio słowy, branie NATO za **ponadczasową** instytucję może więc być niebezpiecznym złudzeniem.

3. Miejsce Polski w groźnym świecie.

A. Od Układu Warszawskiego do NATO.

Polska, do końca 1989 r. PRL, od chwili powstania NATO w kwietniu 1949 r., była **nie tylko** jego potencjalnym przeciwnikiem, ale bardzo real-

nym. Gdyby bowiem "zimna wojna" przerodziła się w "gorącą", to nie było wątpliwości, iż LWP starłoby się z wojskami NATO i odwrotnie, a terytorium Polski, główne zaplecze dla frontów w Niemczech, Danii i krajach Beneluxu, zostałyby spalone przez NATO (liczono się z możliwością "zainkasowania" 900-1.200 różnego rodzaju ładunków nuklearnych. Czy Polska "odgryzłaby się" NATO ze swej strony - było raczej wątpliwe. Po prostu, nie było czym. Co najwyżej jakieś dziesiątkowane jednostki LWP dotarłyby do Danii, Holandii i części b. Niemiec Zachodnich, a jak długo uchroniłyby się od całkowitego zniszczenia - jest już kwestią wyobraźni. Co innego wojska sowieckie, uformowane w 4 armijne grupy w Europie Środkowej i Wschodniej, wsparte całą potęgą białoruskiego okręgu wojskowego, dwóch ukraińskich, bałtyckiego, leningradzkiego i moskiewskiego oraz Flotą Bałtycką. Wojska te miały czym się bić, a ponadto, to i one byłyby nieważne. Ważne były te ze strategiczną bronią nuklearną, daleko na tyłach, pod powierzchnią oceanów i mórz oraz w powietrzu.

Całe więc szczęście, że Polacy nie zaznali "szczęścia" z przynależności do wojskowego sojuszu, jakim był formalnie Układ Warszawski, gdyż faktycznie nic takiego nie istniało, ale o tym mało kto wiedział, z płk. Ryszardem Kuklińskim na czele.

Układ Warszawski, to już zresztą historia, Polska jest w NATO, a to dopiero **początek** nowej historii.

Przyznaję, wcale nie ze wstydem, że jako jeden z nielicznych Polaków byłem **przeciw** przystąpieniu IIIRP/PRL-bis do NATO, czemu nawet dałem wyraz w otwartym liście do Senatu USA, który, pod datą 16 lutego 1998 r., opublikował tygodnik "Washington Inquirer", za co w Kraju poddano mnie ostrej krytyce. Prawdę mówiąc, pisząc swój list, wiedziałem już doskonale, że Polska będzie przyjęta do NATO, ale dla podkreślenia swojego stanowiska w tej sprawie - napisałem co napisałem. I **nic** z tego nie odwołuję.

Nie będę powtarzał treści listu, ale głównym moim argumentem w nim było, że to wcale *nie* Polska chce wstąpić do NATO, ale Moskwa, popierając to odpowiednimi przykładami, jak też przypominając, że zgodnie z opublikowaną w Moskwie decyzją Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej z 23 kwietnia 1993 r., Polska, podobnie jak inne kraje Europy Wschodniej, leży w rosyjskiej strefie "*historycznego zainteresowania*", jak doniosła to prasa rosyjska, czyli w rosyjskiej "strefie wpływów". Rada, co najważniejsze, zdecydowała na swoim posiedzeniu (zapewne tak też było do tego czasu), że **nikt** Rosji z tej "strefy" nie wyrzuci. Można w to uwierzyć, gdyż wynika to z cyfr i faktów cytowanych już w innym rozdziale. Posiada ona "nuklearną pałkę", którą może roztrzaskać głowę nie tylko NATO, ale *całemu* światu.

Jak to więc stało się, że Polska nie wystraszyła się tej "pałki", ani nie wystraszyło się jej NATO?

Odpowiedź na to pytanie wymaga cofnięcia się wstecz, do czasów kiedy to "Solidarność", jak twierdzi, wywalczyła pełną niepodległość i suwerenność Polski, jako że ograniczone były już w PRL.

Zacząła, jak wiadomo, od wygrania częściowo wolnych wyborów w czerwcu 1989 r., w wyniku czego zdobyła urząd premiera. Jakie były kulisy tego wydarzenia pozostawmy to innym do wyjaśnienia, a teraz pora przypomnieć niektóre fakty z tego okresu.

Otóż, świeżo upieczony "solidarnościowy" premier, Tadeusz Mazowiecki, w Zgromadzeniu Narodowym 24 sierpnia 1989 r., po tym jak zapewnił, że nowej armii i milicji jego rząd nie będzie tworzył, rzecz zdumiewająca jak na kraj "odzyskujący" pełną niepodległość i suwerenność, jednym tchem dorzucił:

"Przemiany w Związku Radzieckim budzą naszą żywą sympatię. Rozumiemy dobrze ich znaczenie, również dla otwarcia politycznego w naszym kraju. Pragniemy zachować dobrosąsiedzkie i przyjazne stosunki ze Związkiem Radzieckim... Rozumiemy znaczenie zobowiązań wynikających z Układu Warszawskiego. Wobec wszystkich jego uczestników oświadczam, że rząd, który utworzę, będzie ten układ respektował..." (podkreślenie moje; Z.R.).

Premier utworzył rząd, 12 września 1989 r., z PZPR w kluczowych resortach, jak obrony i spraw wewnętrznych, powtarzając przy tej okazji w tym samym dniu i z tej samej trybuny prawie to samo, o czym już mówił poprzednio. Natychmiast też, Sekretarz Generalny Doradczego Komitetu państw członkowskich Układu Warszawskiego, Iwan Abojmow, odnotował z zadowoleniem słowa "solidarnościowego" premiera, dodając, że Polska w UW odgrywa "rolę szczególną", nie wyjaśniając jaką, a Układ ze swej strony jest "skutecznym gwarantem" integralności terytorialnej Polski. Niemal zaraz też, w dniach 4-5 października 1989 r., w Warszawie odbyło się spotkanie b. ważnego organu Układu, Rady Wojskowej Zjednoczonych Sił Zbrojnych, pod przewodnictwem Naczelnego Dowódcy gen. armii Piotra ~~Ł~~Łuszewa.

Układ Warszawski, choć w praktyce nic nie znaczył, był jednak symbolem *niepełnej* niepodległości i suwerenności Polski. Stąd czołobitne słowa wobec tego Układu ze strony "solidarnościowego" premiera były zdumiewające. Nie podważył ich też Wódz Naczelny "Solidarności", "Pokojoyej Armii Wyzwolenia Polski", gdyż albo nie czytał i nie słyszał co Mazowiecki mówił, albo załatwiał jakieś remanenty "Bolka" i na nic innego czasu nie miał.

A szkoda, gdyż sprawa UW w Polsce była b. ważna z innego powodu, o

czym może nawet dowódcy "PAWP" nic nie wiedzieli.

W PRL, tak też było w momencie tworzenia "solidarnościowego" rządu, a nawet po jej formalnym zniknięciu w końcu grudnia 1989 r., aż do wiosny 1991 r., istniała instytucja Stałego Przedstawiciela Naczelnego Dowódcy Zjednoczonych Sił Zbrojnych UW, z siedzibą w Warszawie, w której służbę pełniło kilkuset oficerów sowieckich. Stałym Przedstawicielem, po tym jak po latach posterunek ten opuścił gen. armii Afanasij Szczegłow, od 12 kwietnia 1989 r. był gen. płk. Wiktor Griszin, o czym chyba dowódcy "PAWP" powinni wiedzieć. Generał bowiem miał uprawnienia **Inspektora** "operacyjnych wojsk" LWP, będących pod dowództwem Naczelnego Dowódcy ZSZ. W praktyce oznaczało to, że Przedstawiciel był faktycznym **zwierzchnikiem** LWP, gdyż druga jego część, OTK, wojska "terytorialnej obrony kraju", były wojskami skadrowanymi, a nie liniowymi (do tych ostatnich należały praktycznie dwa z trzech ówczesnych Okręgów Wojskowych, Śląski i Pomorski oraz 2 dywizje, "czerwonych" i "niebieskich" beretów).

Jeśli Mazowiecki **nic** nie chciał w LWP zmieniać, jak więc z Wałęsą mieli odzyskać *pełną* niepodległość i suwerenność Polski, zwłaszcza, że formalnym zwierzchnikiem sił zbrojnych w Polsce był wtedy nowowybrany prezydent, gen. Wojciech Jaruzelski?

W Polsce, co więcej, stacjonowała wtedy 60-tysięczna PGWAR, Północna Grupa Wojsk Armii Radzieckiej, niby niewielka wobec prawie 400-tysięcznego, 15-dywizyjnego LWP, ale mając lepsze uzbrojenie konwencjonalne oraz broń nuklearną, siłą ognia znacznie go przewyższała

O tym więc, żeby Polska mogła własnymi siłami wyzwolić się z sowieckiego uścisku - szkoda było nawet mówić. Nic też "solidarnościowy" rząd nie wspominał, że NATO mogło tu odegrać jakąś rolę. O nim było cicho, aż do 24 listopada 1989 r. - o czym było już wspomniane w innym miejscu - kiedy to w czasie wizyty "solidarnościowego" premiera w Moskwie, przyjmujący go na audiencji Gorbaczow "poradził" mu "zbliżenie się" do NATO...

Z tym "zbliżaniem się" były jednak jakieś problemy, gdyż UW trwał nadal, a ponadto nie Polska, tylko Węgry, były tutaj promotorem idei wspomnianego już w innym miejscu "pukania do drzwi NATO". Zaczęło się to 22 lutego 1990 r., w czasie wizyty w Bonn węgierskiego ministra spraw zagranicznych, Gyuli Horna, przywódcy partii komunistycznej, teraz socjalistycznej i późniejszego premiera, który oświadczył tam, że "jest prawdopodobne", iż "kraje Układu Warszawskiego wstąpią do NATO". Gorbaczow z kolei, rozmawiając w Moskwie 17 maja 1990 r. z Jamesem Bakerem, amerykańskim Sekretarzem Stanu, powiedział mu po prostu, że porozmawia z prezydentem Bushem na temat przystąpienia ZSRR do NATO (przypomniałem

te fakty, wśród licznych innych, w liście do Senatu).

Nie porozmawiał, ale likwidowany przez Gorbaczowa już od końca lutego 1991 r. UW, ostatecznie rozwiązany 1 lipca został (formalnie rozwiązano go jednak dopiero 23 grudnia 1992 r.). Dawni sojusznicy zaś, wśród nich prezydent Lech Wałęsa, podpisali zobowiązanie, że nie będą wstępować do żadnych sojuszków, wymierzonych w b. sojuszników.

Od tego momentu rozpoczęło się też coraz głośniejsze pukanie przez niektórych z nich do drzwi NATO, bez czekania na jego zaproszenie, co jest normalną procedurą przyjmowania jego nowych członków.

NATO było początkowo głuche na to pukanie, ale od połowy 1993 r., jak to komentowała prasa, USA, chcąc odciągnąć rosnącą uwagę Moskwy od sporów izraelsko-arabskich, zaczęły na pukanie odpowiadać. Tym bardziej, że Jelcyń, odwiedzając w sierpniu 1993 r. Polskę, jakoby "zgodził się" z jej przystąpieniem do NATO. W NATO zapanował więc entuzjazm, ale Jelcyń, w końcu września 1993 r., w liście do przywódców USA, Francji, Anglii i Niemiec przypomniał, że zgodnie z postanowieniami konferencji moskiewskiej z 12 września 1990 r. w sprawie zjednoczenia obu państw niemieckich, granicą wschodnią Sojuszu ma *pozostać* linia Łaby. Entuzjazm NATO "rozszerzania się na wschód" po tym liście opadł, ale sprawa nie zeszła z porządku dziennego. Ostatecznie została rozwiązana na helsińskim szczycie Clinton-Jelcyń w marcu 1997 r. Jelcyń nie omieszkiał jednak oświadczyć, że NATO robi "*wielki błąd*", rozszerzając się na wschód, co Clinton obrócił w żart...

Z żartami trzeba być jednak ostrożnym w przypadku Rosji. Jej doktryna wojenna z 2 listopada 1993 r. bowiem, następnie uzupełniania (pełnego jej tekstu nie opublikowano), przewiduje, że ona **pierwsza** użyje broni nuklearnej, czego nawet nie zapowiadał ZSRR. I to **nie tylko** w odpowiedzi na atak nuklearny lub konwencjonalny, ale także z *innych* i bliżej nieokreślonych i powodów. Czy wreszcie *nikt* w NATO nie wie, że Rosja **nigdy** nie żartuje i nie zna się na żartach?

W każdym razie, pomijając różne zakrety wspomnianej już trójki krajów na drodze do Sojuszu, a **nie wszystko** na ten temat jest znane, 12 marca 1999 r. dotarła ona pomyślnie do celu. Rosja coś tam pomruczała, mniej niż się spodziewano, gdyż w międzyczasie sytuacja zmieniła się poważnie w stosunku do tej sprzed paru lat. Podpisując 27 maja 1997 r. w Paryżu tzw. Kartę Rosja-NATO, Moskwa była zadowolona ze znalezionej rozwiązania (propozycję złożoną Jelcyńowi przez Clintona we wrześniu 1994 r. w sprawie przyjęcia Rosji do NATO - zbył on bowiem ...milczeniem).

Czy więc usprawiedliwione są podejrzenia, że "coś tu nie tak"? I czy NATO jest takie nierozsądne, że wpada w pułapki?

Pozostawiając na uboczu NATO, interesujący jest polski rozsądek.

Polacy zafascynowali się bowiem buńczuczными wypowiedziami Pani Sekretarz Stanu USA, Madeleine K. Albright, że NATO będzie się rozszerzać na wschód "*no matter what*", czyli "*bez względu na cokolwiek*", albo "*bez względu na wzgląd*", tłumacząc to nieco ironicznie.

Ciekawe co by było, gdyby Rosja sięgnęła do "wzglądu" w postaci "pałki nuklearnej"...

Nie sięgnęła, gdyż wszystko szło **po jej** myśli. Wpuściła przecież na podwórko NATO "Trojańskiego Konia"!

A Polacy, z Polonią na czele, jeszcze "oblewali" to swoje ponoć zwycięstwo...

Polska, znalazła się więc w nowym sojuszu. O sojuszach było już sporo w innym miejscu książki, ogólnie negatywnie, gdyż **zawsze** były one zapowiedzią wojny. O sojuszach zawieranych zaś przez Polskę - nawet bardzo negatywnie.

W 1999 r. było już jednak inaczej. Polska do żadnego nowego sojuszu **nie musiała** wstępować, zwłaszcza przy "Niet!" Rosji, po tym jak wyszła (a może tylko udaje?) z dawnego, Układu Warszawskiego.

Załóżmy jednak, że aż tak źle nie jest i Polska, z *własnej* woli, a nawet *wbrew* Rosji, weszła do NATO.

W świetle tego, co już było napisane w innym miejscu, nie było w tym **żadnego** sensu, gdyż na wypadek III wojny światowej Polsce może się dostać *bez względu* na to z kim będzie trzymać. Ale znów załóżmy, że to przesada. Wobec tego posłuchajmy co inni mówią na ten temat.

Caspar Weinberger, wieloletni szef Pentagonu za prezydentury Reagana, w 1996 r. opublikował książkę pt. "The Next War", "Następna wojna", w której opisał jak to Rosja, 15 marca 2006 r., najechała na Polskę, członka NATO, jak dzielni francuscy spadochroniarze przybyli jej z pomocą, ale ledwie rozbili namioty, a już zostali zmieceni przez rosyjskie głowice nuklearne. Potem jeszcze dostało się Czechom, Niemcom, Francuzom, a na koniec Amerykanom.

Autor, dedykując mi swoją książkę 18 września 1997 r., którą przed spotkaniem już wcześniej gruntownie przeczytałem, sumitował się w odpowiedzi na moje pytania, że to tylko fikcja. Bardzo realna - dorzuciłem. A jeśli już nierealna - kontynuowałem - to tylko w miejscu, w którym Francuzi śpieszą Polsce z pomocą, gdyż ani nie śpieszyliby ani nie wylądowaliby na jej terytorium, ginąc już po drodze, z czym mój rozmówca, potakując głową, zgodził się.

Patrick Buchanan, w swojej wspomnianej już w innym miejscu książce,

bardzo słusznie pisze, że:

“Co Ameryka ma dziś w Europie - to utrzymanków, a nie sojuszników. I lepiej byłoby, gdyby ktoś powiedział odważnym Polakom, żeby aby za bardzo nie wierzyli, że na wypadek agresji - NATO wypowie napastnikowi wojnę i pošle swoje wojska na ich ratunek. Chyba Polacy pamiętają 1939 r.”

Z Buchananem, którego znam, jeszcze nie rozmawiałem, ale jeśli będę miał okazję, to pogratuluję mu poczucia rzeczywistości. Bardzo trafnie przecież zauważył w książce, że jeszcze **nigdy** żaden z prezydentów USA nie powiedział, że bezpieczeństwo Polski leży w ich interesie. Prezydent, który unika spotkania z prezesem Kongresu Polonii Amerykańskiej, za jego rzekomy antysemityzm, z Polonią nie mającą zresztą nic do powiedzenia w USA, nie znajdzie się w chwili “polskiej potrzeby” pod **żadnym** naciskiem opinii publicznej, żeby ryzykować wojnę nuklearną o Polskę.

Przystąpienie Polski do NATO zmusza więc do wielu refleksji i dręczących pytań.

Czy Polska wiedziała, wstępując do NATO na 12 dni przed jego atakiem na Jugosławię, że był on już dawno zdecydowany?

Jeśli nie wiedziała, to **bardzo** źle, a jeśli wiedziała i wstąpiła, to **jeszcze** gorzej! Po co podstawiła swoją żabią nogę, gdzie kują konie?

Czy wiedziała też o tym, że pertraktowano z UCK, której rodowodu **nikt** w NATO nie zna do dziś? Czy wiedziała wreszcie o pkt. 8 “Załącznika B” projektu porozumienia z Rambouillet?

Jeśli Polska wiedziała o tym i do NATO przystąpiła, to znów źle, a jak nie wiedziała, to **jeszcze** gorzej.

A kiedy już do NATO wstąpiła, czyż było jej obojętne, że na niewinnych ludzi lecą bomby z nieba? Czy nawet wierząc, że to kara za prześladowania Albańczyków, zajęła słuszne stanowisko, popierając bombardowania? Czyżby wierzyła w *zbiorową odpowiedzialność*? Polska? Mało miała jeszcze z tym doświadczeń?

B. Moralna - nie zbrojna siła.

W zbrojnym świecie Polska **nie może** być - powtarzając to jeszcze raz - liczącą się siłą zbrojną.

Z tego też powodu dziwią pomysły dozbrajania WP w różne cacka.

Jakieś wojsko, *samoobrona terytorialna*, jest Polsce potrzebne. Ponieważ jednak Polska zdecydowała się (albo ktoś jej tak polecił) porzucić myśl o *neutralności* i rwać się do sojuszków, które w razie potrzeby do **niczego** Polsce nie przydadzą się, a tylko wysupląją z jej pustawej sakiewki resztę

cennego grosza, więc *koniecznie* chce się dozbroić.

Pomysły na ten temat graniczą z szaleństwem! Podobnym jak wiceministra obrony narodowej Romualda Szeremietiewa z kuszą, ale taka “broń” **przynajmniej** jest tania! Na szczęście, jakoś ostatnio nic nie słychać o zakupie za *1 miliard dolarów* w Izraelu przeciwpancernych rakiet dla helikopterów “Huzar”, po tym jak kontrakt zerwano. Kto wie czy nie będzie słychać!

Czyżby na wypadek III wojny światowej Polska zamierzała walczyć z czołgami? Przecież jeśli Polskę zaatakuje Rosja z innymi b. republikami, to wcale **nie** czołgami! To nie 1939 rok! Spadną na nią rakiety i głowice, nuklearne, biologiczne, chemiczne i konwencjonalne z daleka i nagle! “Huzary”, jeśli już w ogóle wystartują, to **niczego** nie zestrzelą, gdyż wątpliwe, że cokolwiek zobaczą w locie!

Inny nonsens, to dyskusja o zakupie samolotów myśliwsko-bombardujących. Pomijając już, że jeden, wraz z uzbrojeniem i kompletem części zapasowych, kosztuje ok. 100 mln. dol., to **po co** on Polsce? Bombardować napastnika nie ma czym, gdyż rakietka konwencjonalna, jeśli nawet samolot zdoła dolecieć do celu, szkód nieprzyjacielowi nie wyrządzi, a innych z bronią masowej zagłady nie ma. Pozostaje więc rola *przechwytywania* nieprzyjacielskich samolotów. Których? Przecież one wcale **nie muszą** nadlatywać nad Polskę! “Obłożą” ją czym trzeba z odległości setek kilometrów, z lotniskami włącznie, na których dzielni lotnicy, jeśli tylko będą w powietrzu w czasie ataku, nie będą mogli potem wylądować.

Lepiej więc byłoby, gdyby Polska siedziała *cicho* i do żadnych sojuszków nie pchała się. Chiny nie zagrażałyby *neutralnej* Polsce, ale *natowskiej* już zagrażają. Skoro polski ambasador w Pekinie w imieniu NATO “tłumaczy się” z jego ataku na ambasadę chińską w Belgradzie, to Polska staje się **automatycznie** wrogiem Chin. Chiny zaś, pomijając już własną broń strategiczną, są podobno bliskie otrzymania z Rosji dwóch “Tajfunów”, wspomnianych w innym miejscu największych w świecie rosyjskich nuklearnych łodzi podwodnych. Łącznie 2 takie łodzie mają 400 nuklearnych głowic na pokładzie, zdolnych spraliżować całe NATO, z Polską włącznie. Jedna tylko 10-głowicowa rakietka może “zdjąć” z mapy 10 polskich największych miast: Warszawę, Łódź, Kraków, Wrocław, Poznań, Gdańsk, Szczecin, Bydgoszcz, Katowice i Lublin wraz z najbliższą okolicą...

Nie są to bezpodstawne wizje. Jako przeciwwaga 800-milionowego NATO buduje się powoli 2,5-miliardowy sojusz rosyjsko-chińsko-hinduski z paroma jeszcze krajami, w którym może brakować artykułów pierwszej potrzeby, ale broni może mieć **więcej** od tego pierwszego i wcale nie gorszej.

Nie Litwa napadnie Polskę (jeśli tylko jest naprawdę niepodległa i utrzy-

ma się taką), ani nie napadną jej Słowacja czy Republika Czeska. Nie napa-
dłyby, nawet gdyby Polska nie weszła do NATO, Niemcy, przynajmniej w
najbliższej przyszłości, a co do Rosji, Ukrainy i Białorusi, albo może już
wkrótce SSR, używając rosyjskiego skrótu, Związku Suwerennych Państw,
to sprawa jest mniej pewna. Ale gdyby kraje te zdecydowały się na rozprawę
z NATO, to zaatakują także Polskę jako jego członka, nawet jeśli stała się
nim za ich zgodą. Ot tak, "dla bolszej jasności"...

Polska, jeśli w ogóle może znaleźć jakąś "spokojną przystań" w świecie,
jak to mówi Bronisław Geremek, minister spraw zagranicznych, to z pewno-
ścią **nie** w NATO, niecałej 1/7-mej ludzkości. USA, superpotęga, zamyka
dziś w niektórych krajach swoje ambasady ze względu na obawy przed ataka-
kami terrorystycznymi. Wydaje też ponad 4 mld. dol. rocznie na przygotowa-
nie się na ewentualność terrorystycznych ataków z użyciem broni masowej
zagłady na *własnym* terytorium i już dziś wiadomo, że to za mało i może
bezkuteczne. Przed bronią biologiczną bowiem, *bronią przyszłości*, obrona
może być **niemożliwa** w skali krajowej, a nierzadko także lokalnej.

Zadaniem Nr.1 dla Polski powinno być natomiast takie układanie swoich
stosunków z zewnętrznym światem, aby mieć **jak najmniej** potencjalnych
wrogów, co jest bardziej możliwe przy *neutralnym* statusie kraju, niż w soju-
szach wątpliwej wartości. Przysporzą jej tylko wrogów, często egzotycznych,
a to Polsce **nie jest** konieczne.

A po cóż Polacy z jednostki "Grom", wówczas policyjnej w dodatku,
formalnie *nie mającej* prawa działać poza granicami kraju, angażowali się w
aresztowanie Serba w Sławonii, posądzonego o zbrodnie wojenne? Za mało
przecież wiedzą o konflikcie w b. Jugosławii, żeby brać udział w takich ak-
cjach! Nigdy nie wiadomo, czy kiedyś za to nie zapłacą. Niech się mieszają
do spraw b. Jugosławii ci, którzy przyczynili się do jej tragedii.

Polska **powinna** być aktywna w sprawach umacniania bezpieczeństwa
światowego, ale w akcjach pod egidą ONZ (co zresztą czyni od lat), czy
OBWE, maksymalnie *umiędzynarodowionych*, a nie *upolitycznionych*. I niech
w takich akcjach **nie pokazuje** muskułów, których nie ma i nigdy nie będzie
mieć. Niech będzie *rozjemcą* w sporach, a **nie** żołdakiem.

Polska, ze względu na swoją krwawą i smutną historię, niech nade wszystko
pokazuje światu swoją *ludzką twarz*, a do tego **niepotrzebne** jej żadne
sojusze.

Jeszcze **większą** tragedią może stać się kiedyś odkrycie, że Polska we-
szła do NATO w *niecnych* zamiarach. Nie są to obawy bezpodstawne. Człon-
kostwo Polski w NATO jakoś bowiem dziwnie startuje. Niemcy odmawiają
polskiej jednostce wojskowej wjazdu na ich terytorium dla wspólnych cwi-

czeń, pod formalnie błahym powodem, ale widocznie poważnym, skoro tak
się stało. Dzieją się też jakieś "cuda" z tajną dokumentacją NATO w sejfach
wspomniano powyżej "Gromu". AWS-owscy zaś członkowie rządu, wice-
premier i wiceministrowie resortu obrony i spraw wewnętrznych, posądzeni
są o współpracę ze służbami specjalnymi PRL, podobnie zresztą jak sam
premier, a prezydent nawet o kontakty z rosyjskim wywiadem.

Nie ma się zresztą czego dziwić, bo jeśli Polska pozostała w rosyjskiej
"strefie", to łatwo się z niej nie wyrwie, przy założeniu jeszcze, że ktoś ze
śmiazków zechce ją z niej wyrwać. Dla takich, ostrzeżeniem jest zagadkowa
śmierć premierostwa Jaroszewiczów, generałów Kompowicza, Fonkowicza i
Papały oraz wielu innych, o których nikt nie pisze.

Różne "firmy ochroniarskie", stworzone przez peerelowskie służby specjal-
ne, bezszelestnie następnie przejęte przez obecne, kto wie czy nie "podcze-
pione" pod rosyjskie służby specjalne, mają do swojej dyspozycji ponad 300
tys. sztuk broni. Prawie tyle samo co 220-tysięczne WP i 105-tysięczna poli-
cja, a przecież i one nie są wolne od różnych "powiązań" oraz "podwiązań"
pod tzw. postkomunistyczny układ faktycznie rządzący krajem.

Odrzucając jednak "czarny scenariusz" i powtarzając to jeszcze raz,
Polska **nie może** sobie pozwolić na luksus *potrząsania szabelką* przy czyimś
boku. Pomijając już wszystkie inne względy, po prostu **nie stać** jej na to.

Naród Polski już drugi rok z rządu **wymiera** i demografowie nie są pew-
ni czy jest to tylko przejściowe zjawisko. Dzieje się to ponadto w czasach,
kiedy przerywanie ciąży jest zabronione.

Nie jest natomiast zabronione *nie posiadanie* mieszkania! A jak twierdzą
znawcy zagadnienia, brak mieszkań dla młodych małżeństw, wysokie wśród
nich bezrobocie i niepewność jutra - wpływają **na spadek** przyrostu natural-
nego w Polsce.

Nie broń jest potrzebna, a mieszkania! I wiele innych rzeczy, a przede
wszystkim wysoka **moralność** Narodu Polskiego, godna naśladownictwa w
świecie. Niech o Polakach mówi się, że nie są pijakami, złodziejami, skorum-
powanymi, niesłownymi i obyczajowo upadłymi. Pomoże im to **więcej** niż
śmiechu warta zabawa w *żołnierzyków* NATO, którzy nikogo nie pobiją, a od
wszystkich dostaną.

O losach Polski, jak w przeszłości, decydować będą jej **najbliżsi** sąsie-
dzi, Rosja i Niemcy. Problem tylko w tym, żeby **nie** wspólnie o niej decydo-
wali. A jeśli do tego dojdzie, to **żadne** NATO Polsce nie pomoże.

4. Jeszcze nie koniec Historii.

A. Kilka uwag ogólnych...

Opublikowany latem 1989 r., 15-stronicowy artykuł, o intrygującym tytule "The End of History", "Koniec historii", pióra Francis Fukuyamy, amerykańskiego politologa, wywołał sensację. Idee w nim zawarte, aczkolwiek oficjalnie nikt tego nie potwierdza, stały się faktycznie credo polityki zagranicznej USA, racją bytu "Pax Americana".

Fukuyama dopatrzył się w liberalnej demokracji, "idealnego systemu rządów", który zaczął wylaniać się w świecie po tym jak pokonała monarchię dziedziczną, faszyzm, nazizm i była bliska - a był to rok 1989 - pokonania komunizmu. Pokonując je, liberalna demokracja osiągnęła - pisał - "punkt docelowy ideologicznej ewolucji ludzkości".

Podnosząc liberalną demokrację do "nieskończonej doskonałości", Fukuyama, zarekomendował więc ludzkości "nowy ład światowy" po wsze czasy, idealne **usprawiedliwienie** dla racji bytu "Pax Americana", czego mu dotąd brakowało.

Skoro bowiem Historia dobiegła końca, to *nie ma* obawy, że "Pax Americana", jako zjawisko historyczne, zakończy swój żywot. Nie ma Historii - nie ma końca historycznych zjawisk!

Oponenci Fukuyamy, a było ich wielu, twierdzili dla odmiany, że liberalna demokracja, podobnie jak socjalizm/komunizm, produkt Oświecenia i Wielkiej Rewolucji Francuskiej, z "Wolnością, Równością i Braterstwem", jest **identyczną** utopią, jak wszystkie inne. Niektórzy oponenci twierdzili nawet, że upadek socjalizmu/komunizmu, głównie w jego rosyjskim wydaniu, jest **również** upadkiem liberalnego kapitalizmu oraz jego bliźniaczej siostry - liberalnej demokracji, drugiej strony tej samej monety. W obu wypadkach bowiem - twierdzili - ludzkość ma do czynienia z *odmianą* mesjanizmu, utopią, próbą stworzenia "idealnego społeczeństwa", co jest zadaniem **nie-wykonalnym** w świetle doświadczeń historycznych. Jak długo będzie istnieć ludzkość - twierdzili dalej - tak długo Historia **nie będzie** mieć końca.

Chyba - dodawali - że "idealne społeczeństwo" utożsamia się z religią, zwłaszcza chrześcijańską, ale nawet wówczas, do paruzji, czyli powtórnego przyjścia Chrystusa na Ziemię, zbudowanie takiego społeczeństwa jest **nie-możliwe** wyłącznie siłami ludzkimi. Niestety - konkludowali - ludzie w międzyczasie *coś* muszą przecież robić, w tym także wymyślać "idealne społeczeństwa", utopijne.

Poglądy Fukuyamy, prawdę mówiąc, zadziwiają swoim niezachwianym

optymizmem. Zapomniał, że wszystko co się rodzi nosi w sobie pierwiastek śmierci? Nie wie o tym, zakładając, że istnieje liberalno-rynkowa cywilizacja, albo amerykańska cywilizacja, że przed nią istniały 21-23 cywilizacje, niektóre znacznie dłużej od niej, które przeszły do historii?

Co naprawdę rządzi rozwojem dziejów - choć marksiści uważali inaczej - nie jest wcale pewne. Giambattista Vico, prekursor tzw. historyzmu, w swojej pracy "Scienza Nuova", "Nowa Nauka" z 1730 r. twierdził, że proces rozwoju ludzkości ma 4 fazy, zaczynając się od okresu zwierzęcego, idąc następnie poprzez barbarzyństwo, do cywilizacji, a osiągając ten szczybel ludzkość *zawraca* do stanu wyjściowego.

Z poglądem Vico na bieg Historii można się tak samo zgadzać lub nie jak z poglądami Fukuyamy na jej koniec.

Tylko przyszłość pokaże *kto* z nich miał rację. Jeśli ludzkość nie skończy z wojnami, to może nawet nie będzie komu powracać kiedyś, jak to przepowiadał Vico, do epoki kamiennej.

Po tych uwagach ogólnych pora więc przejść do konkretnych.

B...I kilka konkretnych.

W wielu miejscach książki wspomniano już mimochodem, że od pojawienia się broni nuklearnej pojawiały się okresowo głosy o jej *eliminację* raz i na zawsze. Na forum ONZ mówiono już o tym w 1946 r., 3 mocarstwa nuklearne mówiły o tym w 1957 r., zasiadając do wspomnianych w innym rozdziale negocjacji nad PTBT, Traktatem o Częściowym Zakazie Prób z Bronią Nuklearną, który wszedł w życie w 1963 r., a potem jeszcze wielokrotnie powracano do "*opowiadań*" na ten temat, gdyż inaczej nie można nazwać tych pseudo-wysiłków na rzecz przegnięcia tego przysłowiowego miecza Damoklesa, wiszącego nad ludzkością.

Ronald Reagan, zanim wygrał wybory prezydenckie w listopadzie 1980 r., był podobno szczerze zaniepokojony egzystencją broni nuklearnej w świecie już od 1967 r., ale poglądów swoich na ten temat nie rozgłaszał ani nikt z jego najbliższego otoczenia nie starał się podchwycić jego niektórych idei na ten temat. W końcu, z konkretnymi propozycjami eliminacji broni nuklearnej w świecie publicznie nie wyszedł, ale za to wyszedł z ideą *neutralizacji* jej niszczyielskiej mocy, proponując słynną "wojnę gwiazdną" 23 marca 1983 r., wspomnianą już w innym miejscu koncepcję obrony antyrakietowej.

Pierwszą, ze znaczących osobistości, publicznie wypowiedającą się za **całkowitą** eliminacją broni nuklearnej, 15 grudnia 1983 r., był marszałek Dimitrij Ustinow, sowiecki minister obrony.

Drugą był Michaił Gorbaczow, wówczas jeszcze tylko członek Biura Politycznego partii, który 17 grudnia 1984 r., będąc z wizytą w Londynie, oświadczył publicznie, że ZSRR jest **gotów** wyeliminować, na zasadzie wzajemności, broń nuklearną ze swojego arsenału.

Trzecią osobistością, wypowiadającą się w **identycznym** duchu w swoim liście do prezydenta Reagana z 21 grudnia 1984 r., był Konstantin Czerienko, Sekretarz Generalny KPZR.

Gorbaczow, tym razem już jako Sekretarz Generalny KPZR, odbywając spotkanie na szczycie z Reaganem w Reykjavíku, 11 października 1986 r. ~~już~~ po raz wtóry oświadczył, w formie przedłożonej "propozycji rozbrojeniowej", gotowość ZSRR wyeliminowania ze swojego arsenału broni nuklearnej jeszcze **przed** 2000 r.

Reagan **zgodził się** wstępnie z tą propozycją. Pozostała tylko "drobnostka" w postaci wprowadzenia idei w życie. Na szczycie w Reykjavíku **nie** z tego nie wyszło (ani z niczego innego), a potem do sprawy, poza okazyjnymi wypowiedziami, już nie powrócono.

Dzisiaj - powtarzając to jeszcze raz - Clinton z Jelcynem nie wspominają już o niej słowem.

Pomijając już na ile propozycje sowieckie były szczerze, podobnie jak dzielenie ich przez Reagana, nadawanie idei kształtów praktycznych okazało się *niezwykle* trudne. Dobitym tego przykładem jest **odrzućcie** przez Senat USA z 13 października 1999 r. ratyfikacji CTBT, Traktatu o Całkowitym Zakazie Prób z Bronią Nuklearną.

Jest to wydarzenie o **olbrzymim** znaczeniu dla przyszłych losów ludzkości.

Broń nuklearną można, co prawda, wyprodukować bez dokonywania z nią prób, dzisiaj już tylko podziemnych, ale dla modernizacji oraz kontroli jej "operacyjności" okresowo wymaga ona doświadczalnych wybuchów. Naogół, poza Anglią, która prób dokonywała w USA, czy Izraelem, który podobno dokonał jej w Afryce Południowej, dokonywane są one na obszarach należących do krajów-posiadaczy broni nuklearnej.

Po podpisaniu i wejściu w życie wspomnianego już PTBT, zezwalającego jedynie na próby podziemne, po tym jak w atmosferze i pod wodą zostały zakazane, wykrywanie wybuchów przy pomocy urządzeń sejsmicznych rozmieszczonych w różnych miejscach globu ziemskiego nie nastąpiło większych trudności. Kłopoty zaczęły się wtedy, kiedy główne mocarstwa nuklearne, USA i ZSRR w pierwszym rządzie, zaczęły z czasem dokonywać wybuchów o *małej* mocy, w związku z podjętymi przez nie wysiłkami *zminiaturyzowania* ładunków nuklearnych. Wykrycie wybuchów o małej mocy za-

częło bowiem stawać się wysoce utrudnione.

W tej sytuacji, ZSRR, jeszcze w 1972 r., przy okazji negocjacji SALT I, zaproponował USA podpisanie CTB, układu o **całkowitym** zakazie prób z bronią nuklearną. USA **odrzućcie** sowiecką propozycję, zgadzając się jednak na porozumienie TTBT, "Progowy" Traktat o Zakazie Prób z Bronią Nuklearną, dopuszczający wybuchy podziemne o mocy nie przekraczającej 150 kiloton (ekwiwalent 150 tys. ton trotylu). Traktat, podpisany 3 lipca 1974 r. tylko przez USA i ZSRR, wszedł w życie dopiero 11 grudnia 1990 r. (niezależnie od TTBT oba kraje podpisały jeszcze 28 maja 1976 r. PNET, Traktat o Próbach Nuklearnych dla Celów Pokojowych, który wszedł w życie 11 grudnia 1990 r.).

Porozumieniem już o znaczeniu ogólnoświatowym, a nie ograniczonym jedynie do dwóch krajów, stał się dopiero jednak CTBT, wynegocjonowany 24 września 1996 r. przez 154 kraje.

Prezydent Clinton, po podpisaniu traktatu, przesłał go Senatowi do ratyfikacji. W Senacie sprawa utknęła na martwym punkcie, gdyż jego Komitet Spraw Zagranicznych nie chciał nawet rozpocząć przesłuchań na temat traktatu, uważając go za *niekorzystny* dla USA. Clinton jednakże ponowił swój apel o ratyfikację traktatu na początku października 1999 r., ale Senat, gdzie republikańska większość była od początku nieprzychylna sprawie, zaproponował prezydentowi bądź wycofanie wniosku o ratyfikację, przynajmniej do następnych wyborów, bądź poddanie go pod głosowanie, co równało się jego odrzuceniu. Clinton zgodził się wycofać swój wniosek, ale było już **za późno** i Senat CTBT odrzucił w głosowaniu, choć o jego ratyfikację prosiły Anglia i Francja, mocarstwa nuklearne, które traktat ratyfikowały, wraz z Niemcami, potężni sojusznicy USA w NATO.

Nic z tego! Argumentem przeciwko ratyfikacji było twierdzenie większości senackiej, że USA od 1992 r. nie prowadzą już żadnych prób z bronią nuklearną, podczas gdy Rosja, jak wynika to z obserwacji jej terytorium przez amerykańskie satelity wywiadowcze, prowadzi próby nuklearne małej mocy na poligonie wyspy Nowaja Zjemia.

Rosja ze swej strony, opierając się na obserwacji terytorium USA przez swoje satelity wywiadowcze, wysunęła identyczny zarzut, podając poligon w Nevadzie jako miejsce amerykańskich podziemnych prób nuklearnych. USA, w odpowiedzi na rosyjski zarzut, stwierdziły z kolei, że istotnie sprawdzają "operacyjność" swojej broni nuklearnej, ale jedynie przy pomocy wybuchów konwencjonalnych. Rosja na to odpowiedziała, że ona również prowadzi *identyczne* próby, a ponieważ po obu stronach są one o małej mocy, przeto wiarygodności tych oświadczeń *nie sposób* ani potwierdzić ani odrzucić. Rosja nie

wpuszcza na swój poligon doświadczalny amerykańskich ekspertów, a granitowe komory podziemne do tego stopnia "wygłuszają" wybuchy, że towarzyszące im drgania skorupy ziemskiej stwarzają *trudności* w precyzyjnym określeniu ich mocy przez urządzenia sejsmiczne w dyspozycji krajów NATO. CIA twierdzi ponadto, iż *nie jest* w stanie zweryfikować mocy rosyjskich prób w ogóle, co tylko utwierdziło większość w Senacie, że porozumienia nie powinien ratyfikować. Sprawa weryfikacji jest o tyle skomplikowana, że USA też nie wpuszczają obcych ekspertów na swój poligon dopóki traktat nie *był* ratyfikowany.

Przerwać to błędne koło mogłaby ratyfikacja CTBT, ale takiej możliwości, przynajmniej na wiele lat, już **nie ma** po tym jak Senat go odrzucił.

Jakie będą reperkusje senackiej decyzji w świecie, tego **nikt** jeszcze nie wie. USA nie były, co prawda, jedynym krajem, który CTBT nie ratyfikował, znajdując się wśród 21 innych krajów nuklearnych lub *potencjalnie* nuklearnych, które też go nie ratyfikowały, ale go nie odrzuciły (do takich krajów należą m.in. Rosja i Chiny).

Czy teraz będzie możliwe wynegocjonowanie nowego traktatu czy powrót USA do sprawy po wyborach w 2000 r., zwłaszcza gdyby skład Senatu uległ zmianie - nie wiadomo.

Tymczasem zaś odrzucenie CTBT przez Senat USA jest **złą** wiadomością dla ludzkości. W najgorszym przypadku wszystkie wysiłki, stawiające sobie za zadanie położenie tamy dla nieokiełzanego wyścigu zbrojeń nuklearnych, bez względu na ile szczerze i skuteczne - powtarzając to jeszcze raz - pójdą na marne.

Kolejne komplikacje, obok tych wspomnianych już w III rozdziale, pojawiły się również wokół porozumienia ABM. Po udanej próbie z jednym z systemów obrony antyrakietowej w USA w dniu 3 października 1999 r., wzrosło nacisk na *przyspieszenie* renegeacji porozumienia z Rosją, czemu ona sprzeciwiła się stanowczo, a wówczas **wzrost** napięcia pomiędzy obu supermocarstwami wojskowymi jest nieunikniony.

Jak to więc przewidywał Vico, ludzkość zawróci kiedyś do epoki kamiennej... Jeśli tylko - dodajmy - przeżyje swoje "nuklearne szaleństwo".

Przechodząc od rozważań ogólnej natury do konkretnych wyzwań stojących obecnie przed ludzkością, demokracja może, ale nie musi, być synonimem kapitalizmu, który może funkcjonować bez demokracji. Połączonymi siłami działają *lepiej* niż wszystkie inne ustroje, ale jeszcze **nie ma** pewności, że jest to mariaż z liberalną demokracją, jak pokazuje historyczne doświadczenie, obejmuje **tylko** ok. 1/5 ludzkości i to jeszcze z wielkim trudem. Liberalna

demokracja przeżywa kryzys, z coraz większą częścią objętych nią społeczeństw bierną politycznie, podczas gdy tzw. rozwinięta gospodarka rynkowa, rezultat między innymi utraty "straszaka" komunizmu, zaczyna stawać się niebezpiecznie *spekulacyjna* i nade wszystko *rozwarstwiająca* społeczeństwo (tylko w USA w ostatnich 15-tu latach skrajne różnice w przeciętnych dochodach wzrosły z ok. 200 do 500 razy). Co gorsza, coraz częstsze są objawy *bezwzględnej* zubożenia znacznej części społeczeństwa. Utrata pewności stałego zatrudnienia, nie mówiąc już o strukturalnym bezrobociu, pogarszające się perspektywy emerytur i rent, ubezpieczenia zdrowotnego (w USA jest 45 mln. nieubezpieczonych i ilość ich ostatnio wzrasta o 800 tys. rocznie), podrożenie kosztów wyższej edukacji oraz powstające enklawy strukturalnego bezrobocia - są dalszym niepokojącym sygnałem, że nie wszystko idzie dobrze. Dzieje się to ponadto przy dobrej koniunkturze w USA, "ciągącej" słabą w innych krajach zachodnich, która zaczyna wykazywać, z japońską włącznie, ongiś zazdrość reszty świata, oznaki *strukturalnej* stagnacji. W sytuacji zaś załamania się koniunktury w USA, rzecz wysoce prawdopodobna, wszystkie powyższe negatywne zjawiska **spotęgują się** niepomierzenie, grożąc politycznymi konsekwencjami.

Zresztą, nawet i tak niedoskonałe z "najdoskonalszych" społeczeństw, jakim jest zachodnie, demokratyczno-kapitałistyczne, pozostaje **nieosiągalne** dla całej ludzkości, jak niezbiecnie wykazują doświadczenia ostatnich lat. Jej większość, co najmniej 4/5, ma trudności z dołączeniem do przodującej 1/5, a po załamaniu się "cudu gospodarczego" w Azji Południowo-Wschodniej, Meksyku i coraz bardziej w innych krajach Ameryki Łacińskiej, nikt nawet nie wie **co** poradzić tym krajom, poza "zaciskaniem pasa", żeby poszły do przodu.

Komunizm z kolei, jeszcze nie dowiódł, że **może** obejść się bez totalitaryzmu i współżyć z demokracją. Ten zaś znany empirycznie, również **nie** rozwiązał i nigdy nie rozwiąże, jeśli będzie trzymał się wiernie sloganu "*od każdego według zdolności - każdemu według potrzeb*".

Czystej wody utopia!

"Trzecia droga" z kolei, jak ta w wydaniu "Manifestu Socjaldemokracji", sygnowana przez brytyjskiego premiera Tony Blair'a i niemieckiego kanclerza Gerharda Schroedera, osobników nie grzeszących intelektem, jest jeszcze większym **nieporozumieniem** niż wspomniane dwie inne "drogi".

Ludzkość, która pomnożyła się 4-krotnie w ciągu mijającego XX stulecia, gdzie 9 z 10 noworodków będzie żyć w niedostatku, stoi w obliczu wyzwań w następnym stuleciu i tysiącleciu, na które **nie ma** prostych rozwiązań.

No dobrze, ale *co* stąd wynika dla Polaków?

Wynika tyle, że niech **nie szukają** żadnych *idealnych* rozwiązań dla swoich dylematów, albo *niezawodnych* sojuszników, którzy ich przed kimś obronią.

Jednych i drugich **nie ma** bowiem w *realnym* świecie.

Nie pozostaje im więc **nic** innego, niż liczyć na *samych* siebie. Nie zawsze zdaje to egzamin, ale przecież wszystko inne też **nie zdaje** go!

George Washington - przypominając jego słowa - ostrzegał przed *emocjami* i *namiętnym przywiązywaniem się* do kogoś lub czegoś.

Polacy, emocjonalni i namiętnie wierzący w czyjąś opiekę - powinni **szczególnie** zapamiętać sobie te mądre przestrogi.

Historia jeszcze nie dobiegła końca, podobnie jak nie dobiegła go historia Polski.

Świat jest groźny, ale żyć w nim *jakoś* trzeba

Tym "*jakoś*" jest rozsądek, umiar i dobry przykład, a **nie** siła, której Polska nie ma. A siła innych, z której chce korzystać, może być tylko *niebezpiecznym złudzeniem*.

Niech Polska najpierw dołączy *sama do siebie*, gdyż jest beznadziejnie rozbita, a dopiero wtedy niech zastanawia się *co* robić dalej.

Spis treści

Od autora	4
Rozdział I	5
Rozdział II	44
Rozdział III	87
Rozdział IV	133
Rozdział V	177

POLSKA w groźnym świecie

Pod takim tytułem ukazała się cenna książka prof. Rurarcz o sytuacji w świecie, która miała ważny wpływ na obecny kształt Polski, polityczny i społeczno-gospodarczy.

Blisko 250 stron
Cena \$7.00+1.00 na koszt wysyłki

Zamówienia przyjmuje:
PANORAMA
3104 N. Cicero Ave.
Chicago, IL 60641

tego przesłuchania przez Komitet do spraw bankowych z jednej strony posłużyły jako zasłona dymna do usprawiedliwienia finansowej polityki zagranicznej USA, a ponadto zostały użyte jako pretekst do likwidacji finansowej prywatności uczciwych obywateli, czyniąc ich coraz bardziej niewolnikami władzy”.

cdn

Henryk Wesolowski

Mamy przyrzeczenie, że nasi Czytelnicy będą pierwszymi czytelnikami rewelacyjnej książki Anne Williamson. Jest również możliwe, że otrzymamy zezwolenie na drukowanie tej książki po polsku.

Red.

*Panorama 13/2000
June 10-17/2000*